Numer 31. Nałeż. poczt. opł. gotówką. Dnia 31 Lipca 1932



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Żona.

O żonie mówią mężowie czuli,
Że z nią niedobrze i bez niej źle,
Bowiem podobna jest do cebuli,
Którą choć z płaczem, jednak się je.



Skarga męża.

Przed ślubem aż wspomnieć miło,
Serce Kaśki dla mnie biło,
Po ślubie ku mojej udręce,
Nie serce bije, lecz ręce.



Kiedy kopali ziemniaki.

Do proboszcza przychodzi człowiek i prosi o metrykę chrztu.

— Kiedyście się rodzili? — pyta proboszcz.

— Tego nie mogę sobie przypomnieć, aleć to musi tam być zapisane!

— Człowieku, ja wiem, że jest zapisane — rzecze proboszcz — ale chodzi o to, gdzie. Choć w przybliżeniu musicie mi czas waszego urodzenia oznaczyć, inaczej znaleźć niepodobna.

— Matka mi mówili — była odpowiedź — że się prawie w ten czas rodziłem, kiedy ziemniaki kopali!

Dobry skutek lekarstwa.

Lekarz zatrudniony w szpitalu, przyszedłszy rano na zwykłą wizytę zapytał dozorcy, ilu chorych w nocy umarło?

— Pięciu, proszę pana doktora — odrzekł tenże.

— Co! tylko pięciu? Wszakże sześć recept zapisałem?

— Szósty żyje, bo w żaden sposób lekarstwa nie chciał zażyć.

Szczyt uczciwości.

— Macieju, muszę wam donieść bardzo smutną nowinę; wasz syn Walenty został przejechany przez pociąg.

— Gwałtu, rety, czy aby nie przez nogi?

— A to dlaczego?

— Bo miał nowiusieńkie buty, pożyczone od Bartka, to trza byłoby za nie zapłacić.

Dobre interesa.

Icek: Tate, zrobiłem geszeft!

Ojciec: Jaki geszeft?

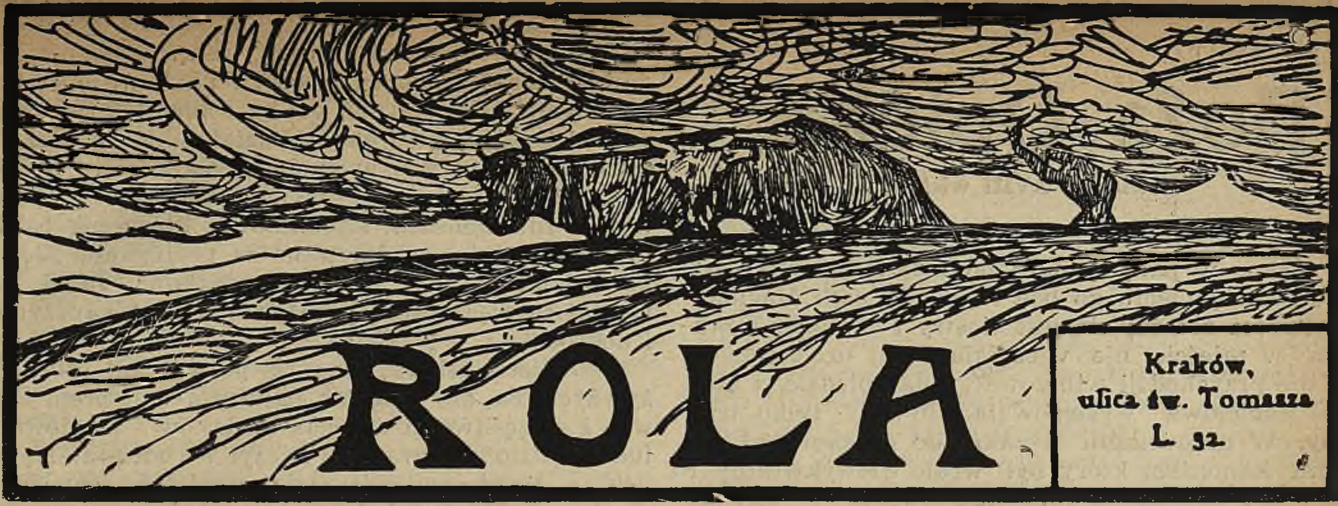
Icek: Dostałem od jednego chłopca nowy grosz za dwa stare.

Ojciec: Aj waj, jakiś ty głupi! Czy nowy, czy stary, to wszystko zarówno — dwa stare, to jeszcze raz tyle, co jeden nowy!

(Po dwóch dniach przychodzi Icek z dwoma podartemi i pomiętoszonemi kapeluszami).

Icek: Tate, ale zrobiłem fajn geszeft! Za mój nowy kapelusz dostałem dwa stare.

Numer 31. Rok XV. Kraków, dnia 31 lipca 1932.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy

Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Młodość.

Młodość to wiek nadziei. Młodość jest podstawą ludzkości i przyszłości, od niej bowiem zależy przyszłość każdego narodu. Podobnie jak rolnik kraje ziemię pługiem i rzuca weń ziarno zboża w nadziei, że z tych ziarnek doczeka się obfitego plonu i żniwa, podobnie jak ogrodnik sadzi drzewko w ogrodzie, okopuje starannie i podlewa codziennie w nadziei, że doczeka się smacznych owoców, podobnie jak pszczelarz krząta się koło ula w nadziei, że pszczółki słodkim miodem uwieńczą jego pracę, — tak i rodzice w rodzinie, niby w ulu, ogrodzie, nie żałują niczego poświęcają się do ostatka w nadziei, że to dziecko, młodzieniec, stanie się zdrowem i owocnem drzewem, kłóskiem bogatem w ziarno, dobrą pszczołą. Całe życie rodziców, to jedna orka i siejba pod przyszłość dziecka.

Młodzieniec, nadzieja rodziców, jest także nadzieją kraju i narodu. Rodzina pokłada w młodzieńcu nadzieję dobrego syna, męża i ojca rodziny, naród zaś wobec młodzieńca żywi nadzieję dobrego syna narodu, bo tylko ci, co są dobrymi ludźmi, są także dobrymi obywatelami kraju i narodu.

Pracą i cnotą trzeba przebijać się przez świat. Trutniów, darmozjadów, co tylko brzęczą a nic nie robią, mamy dziś za wiele, a nam potrzeba pszczół pracujących. Chcesz być dobrym synem ojczyzny, — musisz pokochać to, co w tej ojczyźnie jest święte i drogie, a więc: wiarę świętą, następnie ziemię, tę kołyskę, żywicielkę i karmicielkę naszą wreszcie język i pieśń ojczystą. Wykorzeniaj młodzieńcze zawczasu z serca twego bezprzykładną lekkomyślność, życie nad stan, rozrzutność, niesforność, niekarność, pijatykę, bijatykę i rozpustę, te główne błędy i wady nasze, dbaj o cześć i honor swego narodu.

Młodość, to czas siejby, bo jest ona czasem nietylko rozwoju ciała i duszy ludzkiej, lecz jest też czasem zasiewu pod późniejszy plon i zbiórkę. W młodości musisz przygotować się do zawodu, który później ma dać tobie i rodzinie utrzymanie.

A, niestety, jakże bardzo często młodzież nasza przyswaja sobie lekkomyślnie wady i złe nałogi. W młodości swej próbuje pić wódkę, choć ta pali jej usta i mdłości wywołuje; w młodości naśladuje starszych w paleniu papierosów czy fajki, choć ono zawraca jej głowę i ból jej sprowadza. Z powodu głupiego małpiarstwa naśladuje starszych, przyzwyczaja się do złych nałogów, a w późniejszych latach, kiedy nabierze rozumu, już pomimo najszczerszych chęci od nich odzwyczaić się nie może. Bo czem skorupka za młodu nawre, tem i na starość trąci. Od wczesnej młodości trzeba się od tych nałogów chronić, aby później w latach starszych nie żałować. Wady różne nabyć łatwo, ale pozbyć się ich trudno.

Ucz się więc i pracuj, bo pilność i praca zdobi każdego młodzieńca. Kto w młodości myśli tylko o zabawie i przyjemnościach, a czuje wstręt do pracy, odrazę do książki, taki niech wie, że w przyszłości będzie zawadą nietylko sobie, lecz i dla drugich. Miej zawsze w pamięci słowa: „Módl się i pracuj!“ wyzwól się w młodości z lenistwa, próżniactwa, lekkomyślności, ręce przygotuj do pracy zawodowej, zapal serce miłością Boga, bliźnich i Ojczyzny, a utorujesz sobie drogę pod szczęśliwą i błogą starość. Żyj tak, aby starsze pokolenia spokojnie umierać mogły, będąc pewnemi, że nie zawiedziesz nadziei w tobie położonych, że godnie spełnisz posłannictwo, jakie z rąk starszych przeszło w twe ręce.

Piotr Wenc.

BOLESŁAWITA.

Boża Opieka.

Powieść z XVIII wieku.

(Ciąg dalszy)

Dzień urodzin ks. kanonika przypadał we wrześniu, jakoś w parę tygodni po instalacji Janka na górze i zaciągnięciu go pod komendę pani Maciejowej. Oprócz rodziny, to jest siostry i szwagra, żywa dusza w mieście nie wiedziała o tej uroczystości, nikt nie przychodził winszować, i na obiedzie, z którym Maciejowa występowała, bywały tylko trzy osoby. W porównaniu wszakże do codziennego pokarmu kanonika, który był wcale niewykwintny i głód tylko zaspokajał, obiad ten stanowił ucztę i na kilka dni najnieszczęśliwszą z istot na ziemi czynił panią Maciejową.

W wigilję wigilji zaczynała się gryźć i przemyślać. W przeddzień obiadu Maciejowa, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność, zwykle przychodziła kanonikowi przeszkodzić w pracy i wziąć od niego dyspozycję... Wywołała go i tym razem z pokoju.

— Moja dobrodziejko... zawołał znękany przerwą w czytaniu Hodowski — na rany Chrystusowe, czego ty chcesz odemnie!

— Ale przecie zobacz jegomość w kalendarzu, jutro urodziny, przyjadą ze wsi, trzeba dać jeść, niech kanonik zadysponuje...

— Co ja ci mam zadysponować! co! — zawołał Hodowski — czym ja kucharz? czy ja smakosz? czy mnie to nie wszystko jedno?...

— Tak, a potem powiedzą Maciejowa winna...

— Któż ci kiedy co powiedział?

— Już ja nie chcę dać złym językom powodu do oszczerstw... nie chcę. Dysponuj jegomość.

— Ale rób, co ci się podoba...

— Dysponuj jegomość... już od tego nie odstąpię.

Kanonik lubił kaszę na mleku... pierwszą więc myślą jego była ta potrawa. Maciejowa zaprotestowała, narada trwała kwadrans, kanonik się upocił, stanęło na barszczu i pieczeni z rożna, oraz leguminie z winnym sosem; kucharka chciała dodać coś jeszcze, ale ksiądz ofuknął.

— Co ty tu uczty Baltazarowe i Lukullusowe chcesz wyprawiać!...

Tem jej usta zamknął, gdyż oba te imiona przypominały mocy piekielne i brzmiały Belzebubem; skończyło się więc na barszczu, pieczeni i leguminie z winnym sosem... Obrachowano jadło na trzy osoby... Zwykle siostra i szwagier przybywali około dziesiątej, kanonik na nich ze mszą czekał, odprawiał ją dla nich, a po powrocie około południa obiad podawano; tego jednak dnia w godzinie zwykłej zamiast obojga przybyła tylko sama siostra, pani Brzeska...

— Daruje ksiądz brat, że mój mąż nie przyjechał — rzekła po przywitaniu — ma tam jakieś kłopoty i lata jak oparzony; jegomość się nim do wszystkiego wysługuje... a on też mu aż zanadto służy...

To mówiąc spuściła oczy i łzę otarła; kanonik zmiarkował, że tam w domu nie najlepiej iść musiało, ale nie mogąc na to radzić, nie chciał więcej pytać.

— Moja Tekluniu — rzekł wzdychając — odprawimy dzisiejszą mszę świętą na intencję waszą... Pan Bóg miłościwy, może się tam poprawi.

Poszli wedle zwyczaju na mszę, a po niej Hodowski zaraz z siostrą powrócił na kawę do domu. Maciejowa na ten dzień Janka sobie skonfiskowała, przyodziała czysto i zapowiedziała mu, że posłużyć musi, bo ona razem w kuchni i około stołu być nie może. Janek był posłusznym... On więc przyniósł kawę zdumionemu kanonikowi, który nie bardzo lubił, gdy chłopca używano za posługacza, ale nie powiedział nic. Był to dzień wyjątkowy, Janek skorzystał ze zręczności i pocałował w rękę nauczyciela i dobrodzieja.

— Niech ksiądz kanonik pozwoli mi sobie złożyć życzenia, aby Bóg jak najdłużej w dobrem zdrowiu i szczęśliwości dla nas biedaków i zbudowania ludziom utrzymywać go raczył — odezwał się Janek. — Powinszowania wierszami nie nauczyłem się, bom go nie miał, sam nie napiszę, a nikt też mi nie chciał pomóc. Ze szczerego więc serca ślę westchnienie do Boga...

Chłopiec do kolan się zniżył i pocałował w ręce staruszka, który z czułością za głowę go ścisnął.

— Najlepsze to życzenie, co niewyuczone z serca płynie — rzekł — Bóg ci zapłać.

— A to już znowu inny pauper? — odezwała się po wyjściu Janka siostra do brata...

— Jeszczem takiego zucha nie miał — rzekł cicho kanonik, mrugając ku drzwiom — boję się go chwalić, aby nie popsuć, ale chłopak wielkich, wielkich nadziei. Zrobię z niego uczonego... jeśli nie wyjdzie na łajdaka... bo z takich zdolnych to... albo król albo kapucyn... ba gorzej, genjusz, albo wisielec...

— Skądże się to jegomości trafiło takie cudo? — zapytała siostra...

— Sam pan Bóg mi je zesłał... szepnął ks. Hodowski... a teraz tylko mam nieustanną trwogę, żeby mi go los nienawistny nie odebrał...

— Mój Boże — westchnęła pani Brzeska — brat jesteś szczęśliwy, bo choć przybraną rodzinę, Bożą czeladkę, ubogich sobie przysposobić możesz... a ja... nie mam dzieci... w domku pustki...

Zapłakała nieboga.

— Moja siostruniu dobrodziejko — odezwał się Hodowski — coś ty mi dziś nie wesoła... Podzielże się, jak należy, z bratem biedą twoją, może ci to ulgę przyniesie... Co ci tam dolega...

— A! trudno to się z tego spowiadać, bracie kochany — mówiła kobieta — boby trzeba los obwiniać albo tych, w czyich rękach losy nasze... a to się nie godzi...

— Czyń tam, jak ci sumienie podyktuje — odpowiedział kanonik — lecz powinnabyś mi raz przecie szczerze wyznać, jak ci na świecie jest... możebyśmy co uradzili.

— Co tu radzić, panie bracie — szepnęła ze łzami Brzeska... śmierć chyba jedynym ratunkiem. Boleśnie to wyznać, ale straszne życie moje. Młodą byłam, gdym wyszła za Brzeskiego, nie znałam ludzi, uboga nie miałam wyboru, trzebaż było chaty nad głowę i domu. Wprędce po ślubie poznałam wszakże, jak nieroztropny wybór uczyniłam. Na niczem mi prawda nie zbywało w domu, oprócz szczęścia. Człowiek był i jest ponury, dziki, chciwy grosza i dla niego na wszystko gotów... Dostaliśmy służbę u bogatej wdowy po Wojewodzie... mającej jedno dziecię, ledwie w drugim roku będące, bo ojciec je odumarł, zaraz po urodzeniu. Zrazu dobrze nam było... ale Jejmość kłopotom i procesom podołać nie mogła, młodo owdowiała, napłynęło więc konkurentów, zamąż iść musiała. Wdarł się tam, o jej rękę dobijając,

istny szatan w ludzkiem ciele... Podskarbic koronny... sławny z tego, że młodość po zagranicznych dworach i obozach przebujał i majątek znaczny stracił, tak że mu z niego tyle pozostało, co w powozach i koniach i wystawnym dworze... i pono pałac w Warszawie. Familja Wojewodzinej bardzo była przeciwna jemu, wdowa też się go lękała... przecież jak zaczął chodzić, zabiegać, najeżdżać, protektorów zwozić, królewskiemi się listy zastawiać, na swojem prawie gwałtem postawił, poszła za niego... Nim jeszcze się ożenił, nie wiem jak męża mojego sobie zupełnie ujął i z nim tak związał, iż mu, głowy nadstawiając, pomagał.

Jak tylko ślub wzięli, on i mąż mój pochwycili w ręce wszystko, poczęły się piekielne rządy. Kobieta postrzegła rychło, że w zastawione sidła wpadła, nie było wszakże ratunku, tylko już w opiece Bożej, i pociechy tylko w dziesięciu. Do dziecka tego przywiązaną była nadzwyczajnie, a przez to samo ojczym je nienawidził; wypłakiwałam oczy patrząc, co się we dworze działo z tą biedną panią, choć tam niby dla oczów ludzkich z wielką około niej chodzili rewerencją.

Żyła jeszcze naówczas staruszka matka Podskarbicowej, a naraz jakoś w drugim roku po ślubie, gdy chłopaczek czwarty rok miał i dostał był jakiejś choroby dziecinnej, że się z domu ruszać nie mógł, bo czas był chłodny, dano znać pani, że matka umiera i wzywa ją do siebie. Musiała się w godzinę potem wybrać i wyjechać, rzucając dziecko, którego doktor nadworny brać nie dozwolił... Jakby biedaczka przeczuwała to, że go już nie zobaczy więcej, tak na wyjezdnem, ściskając je, płakała i rozstać się z niem nie mając sił, po kilkakroć do niego wracała...

Pan Bóg niech sądzi, co się naówczas stało — rzekła, głos zniżając, pani Brzeska do coraz bardziej przerażonego kanonika... nie chcę się nawet domyślać... Trzeciego dnia rozgłosili we dworze, iż panicz umarł, i tak się zwinęli z pogrzebem, że nazajutrz rano sam pan, mój mąż i doktor trumienkę na cmentarz wywieźli i pochowali.

Ks. kanonik zerwał się z krzesła z załamanemi rękami.

— Tekluniu! na rany Pańskie, czyż to może być... co oni zrobili! To kryminał — twój mąż...

— O! bracie kochany, wciąż po cichu szeptała płacząc siostra — ja nie wiem nic, ale co wiem, to ci opowiem, jak na spowiedzi. Co się z dzieckiem stało, Bóg jeden wie... to pewna, że nie tak było, jak mówili. Zaraz po wyjeździe pani, gdy jeszcze synaczek i żył i nic mu nie groziło, zaczęły się między moim mężem a Podskarbicem jakieś konszachty, latanina, umawianie... po dniach i po nocach... Mąż powracał do domu jakby przerażony, latał po izbie, mruczał, ręce łamał, gadał w nocy sam do siebie, szedł, wracał, jakby z sumieniem się borykał. W nocy słyszałam, jak przyniósł pieniędzy trzos spory i rzucił go do skrzyni... potem wysłał mnie do Krakowa nagle pod jakimś pozorem, jakby się świadka niepotrzebnego chciał pozbyć. Gdym powróciła, nie zastałam go, dowiedziałam się, że synaczek umarł, a męża gdzieś wysłano — dokąd? niewiadomo, kilka dni go nie było widać... Gdy powrócił, tom go ledwie poznała, tak był blady, tak strasznie wzruszony, i od tej godziny mogę powiedzieć zaczęła się męka moja przez niego, bo się stał nieznośnym, nielitościwym, jakby mu sumienie spokoju nie dawało. Nie godzi się posądzać, ale przebacz Panie — on, jeśli tam co dziecku uczyniono, coś o tem wiedzieć i pomagać do tego musiał...

Cóż to się w domu działo, gdy dowiedziawszy się na pogrzebie matki o śmierci dziecka, wróciła Podskarbicowa... do pustej kolebki. Myśleliśmy, że oszaleje lub umrze. Ledwie ją doktorowie z Krakowa wezwani odratowali... a długi czas chodziła jak obłąkana. Do dziś dnia jeszcze w pokoju nieboszczyka panicza stoi wszystko, jak było... Zrobiła sobie z niego kapliczkę i tam się modli. Podskarbic, trzeba to przyznać, bardzo był dla niej dobry i troskliwy o zdrowie i czuły, jednakże go od tej pory znosić nie mogła i nie może. Temu już lat jest dziewięć boleść ową straszną czas przemógł, żyją z sobą, przecież gdyby obcy... ona cała w modlitwie i we łzach, on po ucztach, biesiadach i po paniach duszkach... latając... Najgorsza to, że mojego męża opłątawszy raz, uczynił go i rządcą i komisarzem i powiernikiem, polepszył mu prawda los, dał mu się spaść groszem, a szczęście i spokój na wieki odebrał... Od śmierci dziecka co ludzie na Podskarbica i na mojego męża gadają, jakie wieści chodzą... nie chcę powtarzać, mój bracie... Śmierć dziecka czy też zatracenie jego przypisują im... Podskarbicowi może nic to nie szkodzi, bo bogaty i skoligacony, ma przyjaciół i obrońców, a mojego Brzeskiego ludzie prawie jako kata się strzegą i boją. Człek też się zmienił, zgorzkniał, popsuł... nieszczęśliwy on, nieszczęśliwsza ja...

Zapłakała kobieta, kanonik siedział jak osłupiały.

— Podskarbicowi chciało się potomka i spodziewał się go, a może i ona też pragnęła, ale Bóg nie dał ani im, ani nam. Ludzie stąd wnoszą, że to kara za utajoną zbrodnię...

Ks. Hodowski wstał wreszcie, trzęsąc rękami i swoją biedną przekrzywioną głową...

— Ale ci się śni, biedna kobieto! — zawołał — żeś nieszczęśliwa, nie przeczę, że człowiek niedobry, niemiły, kwaśny jakiś, tom ja dawno czuł i wiedział, lecz żeby znowu rzeczy tak zaszły daleko, aż do kryminału, nie wierzę. Ludzie plotą, ty jesteś łatwowierna, serce, które boli, roi rzeczy dziwne... Dziecko z choroby zmarło... mąż twój chciwy, w zarządzie majątku może tam co korzysta z tego, że się panu wysługiwał... ale... Nie! nie! — zawołał Hodowski — u nas, dzięki Bogu, podobne historje się nie dzieją... nie wierzę... nie wierzę.

Brzeska zamilkła, ocierając łzy.

— Mój bracie kochany — odezwała się po chwili — nie chcę ci powtarzać, co po śmierci dziecka powoli przez lata na wierzch wychodziło... Ludzie powiadają, iż dziecko jako żywo nie umarło, że je porwano i gdzieś wywieziono. A to prawie pewna, iż mąż mój został nagle z czemś w nocy wysłany i że gdy odjeżdżał sam się powożąc, ludzie płacz dziecięcy słyszeli... Mówią też, iż w trumience ciała nie było, tylko w szmaty poobwijane kamienie, które się, gdy ją niesiono, kołatały... A co najstraszniejsza rzecz... ach! — zaczęła płakać kobieta — nie mówmy o tem.

— Dajbo pokój, nie mówmy lepiej — przerwał kanonik —ja w to nie wierzę; znam ludzi i ludzkie języki... Stworzą z niczego, a jak zaczną powtarzać, dodawać, paplać... tak najniewinniejszego oczernią...

Na tem się skończyła rozmowa, a Maciejowa też z pomocą Janka do stołu nakrywać zaczęła, obiad milcząco przeszedł i smutnie; kanonik starał się na co innego sprowadzić rozmowę, siostra jego wzdychała. Po obiedzie ze łzami znowu skarżyła się na pożycie z mężem... Ks. Hodowski jednak nie dopuścił jej o tem wiele mówić, bo mu się w głowie po-

mieścić nie mogło, aby to wszystko prawdą być miało.

— Moja Tekluniu — rzekł w końcu — życie ludzkie nie jest rozkoszą, jest próbą i obowiązkiem... Znosić je trzeba. Żyłaś z tym człowiekiem długie lata, święcie wycierpiałaś, co ci Bóg zesłał... dotrwajże cierpliwie do końca... a ludziom złym ucha nie dawaj i lada jakim baśniom nie wierz. Plotki rosną, jak na drożdżach... a w imaginacji pęcznieją jeszcze... więc znakiem krzyża świętego odpędzić złe myśli i w modlitwie szukać pociechy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zwycięstwo krzyża.

Igrzyska rzymskie zbliżały się do końca. Oddziały niewolników i najętych wyzwoleńców przestały się już wzajemnie mordować ku okrutnej uciesze swych panów. Trupy pomordowanych powywlekano, kałuże krwi zasypano piaskiem. Na zakończenie widowiska czekała uczestników jeszcze jedna niespodzianka.

Przy pomocy mechanicznego przyrządu spuszczono na piasek cyrkowej areny słup przybrany kwieciem z przywiązaną doń dziewczyną, tonącą w kwiatach, wśród których przeglądało jej nagie ciało. Równocześnie rozchyliły się drzwi klatki cyrkowej i na arenę wyszedł poważnie król pustyni, lew. Lew, olśniony blaskiem światła, dłuższy czas rozglądał się po arenie, następnie rozjuszony krzykami motłochu rzymskiego i rzucanemi weń rzeczami zaryczał groźnie, a zobaczywszy prawdopodobnie dziewczynę na słupie, pomrukując, ruszył w tę stronę. O kilkanaście kroków od słupa przysiadł, gotując się do skoku.

Wtem stała się rzecz nieoczekiwana. Olbrzymiego wzrostu, wyższy oficer gwardji cesarskiej, mając tylko krótki miecz przy boku, wyrwał długi miecz z rąk zdziwionego strażnika cyrkowego, przesadził ogrodzenie, w gwałtownych skokach dopadł gotującego się do napadu lwa, rozciągając go kilku strasznemi ciosami miecza na piasku.

Zanim niezdecydowani widzowie, nie wiedząc, czy należy się im oburzać, czy też oklaskiwać odwagę i sprawność zwycięzcy, zorjentowali się, co zaszło, już oficer przeciął więzy krępujące dziewczynę i dopomógł jej stanąć na piasku. Następnie pobiegł po porzucony w pośpiechu na skraju areny płaszcz żołnierski i zarzucił go na ramiona śmiertelnie przerażonej dziewczyny. Oficer oświadczył widzom, że z zajścia zda sprawę cezarowi i pociągnął za sobą niedoszłą ofiarę.

Tak się zakończyły ostatnie, krwawe igrzyska w Rzymie, czego nikt z obecnych w cyrku nie przewidywał.

Slawiusz Miloniusz, ulubieniec cezara Konstantyna (urodzonego 274 r. w Naissus w Mezji, syna Konstancjusza Chlorusa i Heleny, od 306—337 cesarza rzymskiego), Słowianin z pochodzenia opowiadał cezarowi o swem zajściu w cyrku. Na twarzy cesarza nie widać było gniewu, ani szczególnego zainteresowania, raczej obojętność. Ważniejsze sprawy zajmowały jego myśli. Oto w krótkim czasie ma stoczyć rozstrzygającą bitwę ze swoim współzawodnikiem do purpury cesarskiej, Maksencjuszem, od której zawisł jego los, a może i życie.

Cesarz oświadczył więc Slawiuszowi, że jeśli całą winą jego przyjaciółki i rodaczki Boronji jest jej wiara w Nauczyciela z Nazaretu, może być o nią zupełnie spokojny, może ją nawet na czas zawieruchy wojennej w Rzymie, oddać na dwór cesarski. Dopóki on będzie cesarzem, nie będzie prześladował wyznawców Nazareńczyka, Którego i matka cesarska czcią otacza. Następnie zapytał Slawiusza o jego wiarę, i czy wielu czcicieli Nazareńczyka jest w jego wojsku. Slawiusz oznajmił cesarzowi, że tak on sam, jak i bardzo wielu jego kolegów i żołnierzy czczą Chrystusa z Nazaretu. Chrześcijanie w rozstrzygającej chwili czynami okażą swą wielką miłość dla cesarza. Mowa ta rozjaśniła oblicze cesarskie. Slawiusz z czcią i miłością ucałował podaną mu rękę cesarską. Wiadomość o przyrzeczeniu cesarza Konstantyna dla chrześcijan, zjednały mu powszechnie ich serca, napełniły je zapałem i nadzieją lepszej przyszłości.

Cesarz Konstantyn niepokoił się jednakże dalej o wynik zbliżającej się orężnej rozprawy. Wówczas miał mu się ukazać w obłokach krzyż ognisty z promiennym napisem: „In hoc signo vinces" (w tym znaku zwyciężysz). Słodka otucha napełniła serce cesarza. Kazał bezzwłocznie poumieszczać krzyże na sztandarach swych wojsk i uderzył na wroga. Slawiusz ze swoim oddziałem, na własną prośbę, walczył w pierwszych szeregach. Rzuciwszy się w tłum wrogów, otrzymał lekką ranę. Natarcie wojsk cesarza Konstantyna było straszne. Wojska Maksencjusza po długotrwałym oporze objął paniczny strach i rzuciły się do bezładnej ucieczki. Sam Maksencjusz utonął w rzece Tybrze, a armja jego przestała istnieć. Senat rzymski obwołał zwycięskiego Konstantyna cesarzem (Augustem). Odtąd chrześcijanie uważali sprzyjającego im cesarza za swego dobroczyńcę, poganie rzymscy zaś nadal uważali cesarza za boga.

W niedługim czasie po tej bitwie pod Rzymem, stoczonej 27 października 313 r. nastąpiło małżeństwo Slawiusza z Boronją. Małżonka Slawiusza zawsze bardzo tęskniła za ojczystemi borami, na jej więc prośby zdecydował się Slawiusz powrócić w kraje słowiańskie. Dotarłszy szczęśliwie do swego plemienia z nieliczną wierną drużyną, zbudował Slawiusz kamienno-drewniany gród. Slawiusz zatknął również pierwszy krzyż Chrystusa w kraju słowiańskim, do końca życia przewodził roztropnie swoim ziomkom, szczepił początki wyższej kultury i chrześcijaństwa. Lecz dopiero po latach przeszło trzystu zawitała wiara Chrystusowa po raz drugi w te strony, ukazał się powtórnie zwycięski krzyż — już na wieki całe.

Bitwa stoczona między cesarzem Konstantynem a Maksencjuszem pod Rzymem 313 r. była widomym znakiem zmiany wiary, stosunków, całego życia rzymskiego, zmiany dokonywującej się stale. Krew miljonów męczenników przelewana przez lat trzysta w dziesięciu krwawych i strasznych prześladowaniach była posiewem nowych wyznawców Chrystusa, przygotowała zwycięstwo Jego Krzyża.

W r. 313 ogłosił cesarz Konstantyn Wielki edyktem medjolańskim wolność wiary Chrystusowej, którą i sam krótko przed śmiercią przyjął. Pierwszy cesarz chrześcijański zmarł w r. 337 w Nikomedji. Państwem rzymskiem rządzili po nim trzej jego synowie: Konstantyn, Konstancjusz i Konstans.

Obecnie po tysiąc sześciuset przeszło latach od chwili jawnego zwycięstwa Krzyża Chrystusowego (313 r.), liczba wyznawców Chrystusa wynosi około 700 miljonów ludzi (samych katolików około 330 miljonów) na ogólną liczbę całej ludności ziemi około 1.847 miljonów (w r. 1924). *Jan Pelczar.*

Po gradowej burzy.



Smutny widok przedstawia obok zamieszczony obrazek. Oto po burzy, jaka przeciągnęła niespodziewanie, wyszedł chłopek przed dom ze swoją połowicą i ku największemu przerażeniu zobaczył, iż piękne jego zboże, które już oczekiwało na sierp, leży powalone falami wichru i przyklepane do ziemi mroźnemi grudami gradu. Ona z rozpaczy załamała ręce, on wpił palce w głowę i stoją bezradni i zrozpaczeni, albowiem cała ich nadzieja, cała przyszłość została w ciągu kilkunastu minut zniszczona. Czem będzie żyć przez cały rok, czem będzie dzieci wyżywić. Już i tak dola ludu wiejskiego niewesoła, a cóż dopiero mówić, gdy ją jeszcze pogorszy jakaś klęska żywiołowa.

A grady są najstraszniejszą klęską dla rolnika. Mamy tego przykład w roku bieżącym; grad zniszczył w wielu okolicach naszego kraju zbiory do tego stopnia, że częstokroć ze zbóż nawet słomy na paszę dla bydła nie można było ocalić.

Może niejeden z naszych Czytelników zadaje sobie nieraz pytanie, skąd się bierze grad, w jaki sposób powstają te kulki lodu, które czasem dochodzą do wielkości gołębiego jaja, a nawet do wielkości jaja kurzego? Dla wielu to rzecz znana, tym zaś, którzy tego nie wiedzą, postaramy się to w kilku słowach wytłomaczyć. Otóż, jak wiadomo, woda mórz, rzek i stawów stale paruje, a para ta unosi się w powietrze i tworzy chmury. Chmury te wiatr pędzi coraz dalej i dalej. Im para wodna jest gęściejsza, tem chmury są ciemniejsze. Jeżeli chmura taka natrafi na prąd powietrza chłodnego, wówczas skrapla się, a krople te spadają na ziemię w postaci deszczu. Górne warstwy powietrza nie są tak ciepłe, jak przyziemne. I bywa tak, że np. w lecie na ziemi panuje upał, a tymczasem w górze ponad nami warstwa powietrza na wysokości kilkuset metrów jest tak zimna, że jest tam kilka stopni mrozu. Jeżeli chmura przepływa ponad tą mroźną warstwą powietrza i para jej zamieni się w krople deszczu, to te krople muszą przelatywać przez ową mroźną warstwę. Wówczas krople te zamieniają się w lód, ten podczas swej stosunkowo długiej drogi oblepia się dalej skroploną parą wodną, która również zamarza i spada na ziemię w postaci gradu. Im ta droga jest dłuższa, im więcej taka zmarznięta kropla wody oblepi się parą, która na niej zamarza, tem kulki gradowe są większe.

Zachodzi pytanie, dlaczego w zimie grad nie pada? Jest to wszakże rzeczą naturalną, gdyż w zimie, gdy chmura dostanie się w prąd zimnego powietrza, to para wodna nie ma czasu na skroplenie się. Mróz chwyta ją tak szybko w swoje uściski, że para zamarza momentalnie i spada na ziemię w postaci drobnych szpilek, które w swej drodze tworzą piękne gwiazdki. Gwiazdki te przelatują już przez suche powietrze, więc się nie powiększają. Mamy wówczas śnieg.

Zachodzi pytanie, dlaczego w lecie nigdy, a przynajmniej bardzo rzadko pada śnieg. Owszem pada on bardzo często, ale nie dolatuje do ziemi, zwłaszcza na równinach, a dzieje się to w ten sposób. W górnych sferach dostaje się chmura w wmroźną warstwę powietrza. Para marznie momentalnie i płatki śniegu lecą ku ziemi. Są one jednak lekkie, więc lecą powoli. W drodze swej natrafiają jednak na warstwę ciepłego powietrza i jak momentalnie para wodna przemieniła się w górze w płatki śniegu, tak szybko te płatki w ciepłej warstwie powietrza topnieją i spadają na ziemi w postaci drobnych kropel deszczu. Jest to tak zwany zimny „kapuśniaczek“. Natomiast na szczytach gór, gdzie powietrze nawet w lipcu posiada temperaturę kilku stopni poniżej zera, tam owe płatki śniegu nie potrafią się na czas skroplić, i dlatego też góry często nawet w dni najbardziej upalne pokrywają się białą szatą śnieżną.

Czasem jeszcze w lecie spadają tak zwane krupy, podobne zupełnie do kaszy tatarczanej. Skądże te powstają? Otóż początek ich jest zupełnie podobny do początku gradu. Skroplona para wodna dostaje się w prąd powietrza nadzwyczaj mroźnego. Krople te marzną momentalnie i nadzwyczaj silnie, ale w dalszym swym locie nie przelatują już przez warstwy wilgotne powietrza, ale suche i również mroźne, nie powiększają więc już swej objętości i spadają na ziemię w takiej postaci, w jakiej się utworzyły wysoko w górze. Przelatując niżej przez ciepłe warstwy powietrza, ocieplają się nieco, ale stopnieć tak, jak śnieg, już nie zdołają i spadają na ziemię w postaci krupek.



MACIEK BZDURA GADA:

Podsłuchiwanie cudzych rozmów jest rzecą paskudną. Wszyscy o tem dobrze wiedzą i latego kużden, jak tylko co moze i gdzie moze, podsłuchuje. I właśnie takie podsłuchiwanie jest bardzo ciekawe: jednem uchem wlatują do głowy jedne słowa, drugiem drugie, w głowie łącą się ze sobą, ale tak ze sobą pomisane, ze w żaden sposób ni mozna z nich poznać, jak były wypowiedziane. To tak samo, jak to mliko, które baby podkrakowskie przynosą paniusiom do miasta; w chałpie do blasanki wliwają z jednego garnuska mliko scyrzusieńkie, z drugiego scyrzusieńką wodę, a potem w mieście jest z tego ni woda, ni mliko. I dziwić się tu potem, ze pany miastowe tak mikrnie wyglądają, kiedy w wypitej kwarcie takiego mlika mają ino kwaterkę mlika, a trzy kwaterki wody.

Taksamo jest i z podsłuchiwanemi bajkami: jest w nich trzy kwaterki cygaństwa, a ino jedna kwaterka scyrzusieńkiej prawdy.

Ja tam podsłuchiwać nie lubię, bo ni mam kogo podsłuchiwać, ale jak się trafi taka okazja, to słucham, ba przecie Poniezus dał usy do słuchania, a gębę do gadania. Choć co prawda, to gęba nie do samego gadania słuzy, ale mozna nią takze casem jeść, jak jest ino co, mozna w niej faję trzymać, jak są grose na tutoń i mozna nią całować.

O takiem całowaniu podsłuchałem wkiejsik rozmowę, jak se o niem gadali goście nasego jegomościa.

Jakisik obstarni pan z wielgimi zatabaconemi wąsami powiada:

— Lacego niewiasta zamyka ocy, jak się ją całuje?

Jakby pierun trzasł z jasnego nieba, tak wszyscy zdumieli na to pytanie i nie wiedzieli co odpowiedzieć. Jaz po dobrej chwili powiada młody organiściak, co się to na hadukata w Krakowie hadukuje:

— Chwila pocałunku jest tak piękna, tyle mieści uroku w sobie, że jej kobieta wzrokiem nie chce sprofanować. Zamyka ona oczy, aby chwilę ową jak najdłużej w sobie zatrzymać, aby się pieścić nią i nie skazić jej żadnem innem wrażeniem!

— E to nie! — ozwała się nasa młoda prefesurka. — Kobieta ma w sobie bardzo wiele poczucia piękna. Dając się całować, pozwala to tylko temu, który wydaje się jej godnym tego, choćby tylko dlatego, że rysy jego z oddali sprawiają jej przyjemność. Bo wszystko niemal, co oddalone, wydaje się piękniejsze, aniżeli jest w rzeczywistości. I niejeden mężczyzna zdaleka może być piękny. Ale gdy się zbliży do kobiety, gdy ją ujmie w swoje objęcia i wargi przykłada do jej warg, wtedy zmienia się zupełnie. Twarz jego przybiera inne kształty, gęba się wykrzywia, a na oblicze występuje ta rzeczywista prawda, jakie on ma wtenczas myśli i czego chce w rzeczywistości, kiedy całuje. Otóż kobieta, aby tego wszystkiego nie widzieć, zamyka w czasie pocałunku oczy i zdaje się jej wówczas, że całujący ją mężczyzna naprawdę ją kocha.

Słuchała tego gadania Margośka, pokojówka jegomościowa, a wziąwszy zapaskę w gębę, poczęła się z pod niej uśmichać.

— I czegóż się śmiejsz, klempo? — zapytał się któryś z gości.

— E, bo tak piknie gadacie o tem całowaniu, ze mnie śmisnostka na nie bierze. Ale mi się widzi, ze inksa jest przycyna tego zamykania ślipiów, bo i ja je zamykam, jak i inkse dzieuchy miastowe. Ale robię to nie latego, abym miała jakiesik wrazenia zatrzymywać w sobie, bo przy całowaniu jesce żadnych wrazeniów nima. Zamykam ślipia ino latego, bo jak mnie jaki starsy pan z takiemi wąsiskami całuje, to się boję, aby mi jego wąsiska ślipiów nie wybiły.

Rozśmiali się wszyscy z takiego wyjaśnienia Margośki, ale nikt sobie go nie wziął do serca, bo wiadomo, ze teraz miastowe chłopy chodzą bez wąsów, bo jem je baby do krzty wyskubały.

Wreście zabrał głos pan organista, który udaje, ze wszyćko wie, a w rzecywistości nic nie wie i tak powiada:

— Zamykają ocy przy całowaniu tylko poniektóre niewiasty, ale nie wszyćkie. Ostrożniejse całują i dają się całować z otwartemi ślipiami. Bo mogłoby się tak zdarzyć, ze gdyby ją całował jej najmilejsy Jaś, to ona, mając ocy zamknięte przez zapomnienie zawołałaby: „Najdrozsy Stasieńku, całuj jesce, całuj, a mocniej, bo pocałunek twój słodsiejsy nad cukierki od Piaseckiego". A gdyby się tak stało, to coby wtencas było. Taka ostrozna panienka, całując lub dając się całować, woli mieć okna otwarte, aby wiedziała z kim ma w chwili całowania do cynienia.

Co było dalej, nie wiem, bo jegomościowe goście zabrali się do całowania kielisków, pocałunek których jest pono przyjemniejsy od pocałunku najpiękniejsej niewiasty.



Lato.

Po krótkiej miłej wiośnie
Przyszły znów lata dni,
Roślinność w oczach rośnie,
Rolnik o plonach śni.

Na łące pachnie kwiecie,
W ogródku kwitną bzy,
Choć człeka smutek gniecie
To nic nie uroni łzy.

Na polach szumią zboża,
Kiejby te fale mórz,
Strzeże ich Męka Boża
Od gradów i od burz.

Gdy przyjdą sianokosy
To kosiarz trawę tnie,
I rozrzuca pokosy
A za nim zaraz schnie.

Skowronek pięknie śpiewa,
Wzlatując nad nim w krąg,
Kosiarza pot oblewa,
Lecz nie opuszcza rąk.

A gdy przyjdzie żniw pora
Na pola bieży kto żyw,
Od rana do wieczora
Pilnuje rolnik żniw.

Słychać zgrzyt sierpa, kosy
I żeńców pieśni ton
Aż głos leci w niebiosy
Przed Majestatu tron.

Gdzie stały zboża łany,
Tam pustka świeci już
Bo rolnik, potem zlany,
Do stodół wszystko zwiózł.

Będzie miał dosyć chleba
Za ciężkiej pracy trud,
Co nie zje, drugim sprzeda,
By miał chleb wszystek lud.

Andrzej Dej.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Synaj IV.

Od góry Synaj do kanału Suezkiego trzeba jechać sześć dni, oczywiście na wielbłądzie, gdyż brak tam koleji, a w ciągu tych sześciu dni tylko dwa razy



Popas na półwyspie Synaj.

można odpocząć w pobliżu słodkiej wody. Przez cały czas podróży poza dwoma oazami nie spotkasz nigdzie drzewa, gdzieby w godzinach południowych można odpocząć w jego cieniu i osłonić się przed palącemi promieniami słońca. Już z naszego pierwszego obrazka można wywnioskować, jaki to przykry i męczący taki odpoczynek. Ochłodzić się również niema czem, bo woda, jaką podróżny bierze ze sobą, jest tak ciepła, że jej prawie pić niepodobna.

Im droga, po której się jedzie, jest uciążliwsza, — tem cel, do którego się dąży, wydaje się bardziej upragniony. A jest nim oaza Wadi Firan. Kraj pustynny niemal zmienia się nagle w kraj bujnej roślinności, ku niebu wystrzelają wysmukłe palmy, a ziemię pokrywają rozrosłe zioła. Przecudnieby tam było, gdyby ręka ludzka więcej zadbała o ową piękną krainę. Ale, zdaje się, nieliczni tamtejsi mieszkańcy, niewiele starają się o utrzymanie swej ziemi w jakim takim porządku. Dlatego też na tle przecudnej natury widać wszędzie nędzę i niedostatek.

W tym przecudnym ogrodzie palmowym rozsiadła się brudna, nędzna, okolona skalistemi wzgórzami wioska, tak podobna do wielu naszych zaniedbanych wiosek polskich. Opłotki, kozy, ogródki, płachty, na których suszą się daktyle, niby śliwki węgierki, rozczochrane dzieciaki, kobiety na przyzbach domów, dziewczęta u studni i chude psy wyjące — przypominają nam niejedną z naszych Psich Wólek lub Zatraconych Wsi.

. Jednego u nas niema, a to tych dziwnych pląsów, jakie się tam co wieczór odbywają. Wczesnym wieczorem odzywa się niezwykły śpiew i klaskanie w ręce. Kilku młodych parobczaków rozpoczyna swój zwykły taniec. Dziwne to pląsy! Na polanie z wesołego grona gwarzącego, spierającego się i żartującego w gwiaździstą noc, a oświeconego jedynie iskierkami zapalonych papierosów, wstaje czterech chłopców. Ku nim wysuwa się z zarośli tajemnicza postać w czarnym burnusie, z rozkrzyżowanych ramion spływają fałdy i zwisają obszerne rękawy, dając mu pozór ogromnego ptaka nocnego, zrywającego się do lotu, a bardziej jeszcze olbrzymiego nietoperza. Opuszcza on ręce, a temsamem zwija skrzydła i w podrygach zbliża się do reszty taneczników, w obu dłoniach trzyma szablę ostrzem do towarzyszy zwróconą. Ci zaś trzymają się za ręce, biją w takt pokłony, kłaniają się w pas za każdym krokiem naprzód, następują, to znowu cofają się, aż czarne i zbrojne widmo zniknie znowu w krzakach, by po chwili ponownie się z nich wychylić.

Taniec ten wywołuje wrażenie grozy i osobliwego a niesamowitego uroku. Nocna pora, słabe oświetlenie, przygłuszona melodja, jednostajna a jednak nie nudna, dzikie a zgrabne postacie, wdzięk ich ruchów i postaw, składają się na nastrój, którego żaden inny taniec wywołać nie może. Taniec ten, to taniec śmierci. Jak ten młodzieniec, udrapowany w ciemny burnus, a wychodzący z jakichś tajemniczych zakątków przed oblicze zgromadzonych, tak śmierć zjawia się niemal codziennie przed nami i zaprasza nas do śmiertelnych pląsów. Idziemy za jej wezwaniem, kłaniamy się jej i uciekamy na chwilę przed nią. Ale ona wabi nas ku sobie natarczywie. Radzibyśmy się od niej oddalić, ale jakaś nieprzeparta siła ciągnie nas w jej ramiona. Zbliżamy się ku niej i odchodzimy,



Oaza Wadi Firan.

aby znów podejść ku niej i paść ostatecznie pod ostrzem jej śmiertelnego miecza.

Podróżny, odetchnąwszy w cieniu tych przepięknych palm oazy, dosiada znów wielbłąda, aby przez kamieniste wertepy przedzierać się dalej ku morzu, gdzie odetchnie ponownie całą piersią i gdzie znów zobaczy świat cywilizowany.

(Ciąg dalszy nastąpi).



(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

Wreszcie auto zostało naprawione i niedługo znaleźli się na rynku myślenickim. Pożegnał się z towarzyszami podróży i podążył do mieszkania. Znowu to samo go spotkało, co i w aucie. Musiał się stróżom przypominać. Wprawdzie pamiętając go z ostatniego pobytu, byli przygotowani na zmianę w wyglądzie, to jednak nie tak znaczną.

Od nich, skoro wszedł do mieszkania, dowiedział się dalszych nowin. Nie omieszkali mu wspomnieć o dwukrotnym pobycie pana, z którym swojego czasu przyjechał do Myślenic.

Wstrząsnął się niemile — jak po przykrym śnie.

— Aha — szepnął do siebie. — Teraz, kiedy córka jego zdrowie odzyskuje, przyszedł do przekonania, że mi krzywdę wyrządził. Za późno panie hrabio.

Jeszcze jedno — stróże oderwali go od myśli temi słowami:

— W Magistracie znajduje się dla pana doktora jakieś bardzo ważne zawiadomienie. Kilkakrotnie zachodził sekretarz i pytał o pana doktora.

— Dobrze, pójdę potem — odrzekł, dając stróżom do zrozumienia, iż mogą odejść.

Nim jednak zdecydował się na ten krok, posłyszał pukanie do drzwi. Zobaczył we własnej osobie sekretarza magistratu. Momentalnie bowiem rozeszła się wieść o jego powrocie — zresztą magistrat mieścił się niedaleko, w trzecim domu. Mogli zatem i stróżowie donieść. Zagadawszy o tem i o owem, przystąpił do właściwej sprawy. Podał mu list zapieczętowany, firmowany przez Bank Ziemiański w Krakowie, który wyjął z teczki. Na kopercie zobaczył notatkę, zatrzymać aż do powrotu i doręczyć do rąk własnych — sprawa bardzo ważna. Wyjaśnił przytem, że on napisał te słowa, na podstawie osobnego pisma banku, skierowanego do magistratu.

Podziękował sekretarzowi za osobiste trudzenie się, a list odrzucił na bok. Przeczuwając, co mógł zawierać, nie chciał go czytać przy ciekawym. Otworzył dopiero po odejściu sekretarza. Zawartość niezwykle go zdumiała i oburzyła. Bank powiadamiał go, iż nieznany ofiarodawca złożył do jego dyspozycji kwotę 150.000 złotych. Zrozumiał, że to hrabia Radwanyi wynagrodził go tak hojnie za wyleczenie córki.

— Nie, panie hrabio — wyrzekł do siebie po przeczytaniu — za policzek i poniżenie nie płaci się pieniądzmi. Ja chcę, by pan pozostał moim dłużnikiem do śmierci.

Zaraz następnego dnia pojechał do banku i kazał całą kwotę odesłać z powrotem ofiarodawcy.

— Ależ my nie wiemy, kto złożył pieniądze! — próbowali się sprzeciwiać.

— No to, w takim razie proszę je przekazać do Debreczyna na dobro hrabiego Radwanyi — podał spokojnie adres.

Nie mogli wyjść ze zdumienia, iż z taką obojętnością odrzucał olbrzymi majątek.

Kiedy się z tem uporał — uczuł zadowolenie. — Przynajmniej zemścił się w ten sposób. Wiedział, iż hrabiego zaboli wiadomość o odrzuceniu wynagrodzenia. Powrócił następnie do Myślenic w tej nadziei, że czas rany zagoi, że zdoła się otrząsnąć ze wspomnień i przyjść do siebie.

Mógłże jednak iść na przekór życzeniom serca. Już następnego dnia uparte myśli dążyły do zamku Radwanyi — pokoju chorej i do ukochanej.

Dawni pacjenci powynajdowali różne dolegliwości i poczęli od rana do wieczora garnąć się do niego. Dzwonek telefonu bez przerwy dźwięczał. Wzywano go na różne strony do rzekomo chorych córek radczyń. Zapraszali go ponadto różni znajomi. Wszyscy chcieli się dowiedzieć z jego własnych ust, gdzie przebywał. Całe miasto zaintrygował przyjazdem w lipcu z hrabią Radwanyi po zwłoki topielicy — i widocznie domyślając się jakiejś zagadki, pragnęli dokładniejszych wiadomości. Najwidoczniej i komisarz policji musiał się z czemś wygadać, chociaż go prosił o zachowanie tajemnicy.

Komisarz policji zjawił się u niego zaraz w pierwszym dniu przyjazdu. Chciał koniecznie znać szczegóły, w jaki sposób doszedł do takich rezultatów. — Brutanek nie miał potrzeby ukrywać przed nim swoich kroków — opowiedział mu zatem wszystko, co uważał za stosowne. Nie wspomniał jednak o opowiadaniu hrabiego, o chorobie hrabianki, a przedewszystkiem o swojej miłości i o ostatnich przejściach.

— Widzi pan — konstatował z zadowoleniem — moje przypuszczenie, iż wieśniak Malczyk musiał mieć łączność z całą sprawą — okazało się trafne. — Zmarła rzeczywiście była jego wnuczką, nieślubnem dzieckiem jego córki. Fotografje nie przedstawiały dwóch sióstr. Uderzające podobieństwo matek stało się przyczyną, że i córki były sobowtórami.

Chociaż lekarz Brutanek nie opowiedział najważniejszych szczegółów, to jednak komisarz uznał za niezwyczajne jego wysiłki i przejścia. Podziwiał jego spryt.

Jedynie przy wzmiance o Malczyku próbował siebie usprawiedliwić, wspominając o przedmiotach znalezionych przy topielicy.

Monogramy z szlacheckiemi godłami, sygnet — mogły każdego w błąd wprowadzić. Któż bowiem mógł przypuścić, że odgrywała rolę hrabianki.

— A czy rozwiązanie zagadki przyniosło panu szczęście, jak to obiecywał sygnet? — próbował na końcu zażartować.

Na to wspomnienie Brutanek zbladł, aż się komisarz zatrwożył i wyrzekł:

— Przyniosło mi sześciotygodniową poważną nerwową chorobę. Rozumie teraz pan moją szaloną zmianę.

Po odejściu komisarza nachodzili go nieustannie różni pacjenci. Wszyscy chcieli się przyjrzeć jego mizernej twarzy i dowiedzieć czegoś. Po uporaniu się z nimi złożył kilka wizyt na zaproszenie telefoniczne. Miał pozostać w Myślenicach, nie mógł zatem

zrażać do siebie ludzi. Umęczony, uraczony jadłem i piciem — powrócił do mieszkania koło północy.

Szósty dzień po powrocie przyniósł mu niezwykłą niespodziankę. Stał się pierwszym radosnym i naprawdę szczęśliwym po długim szeregu smutnych.



W otwartych drzwiach zobaczył hrabiego Radwanyi.

Około godziny 5 popołudniu, kiedy uporał się z pacjentami, przeszedł do salonu, usiadł w fotelu i poddał się smutnym myślom — posłyszał turkot samochodu. Umęczony nie zwracał na to zbytnio uwagi. Zastanowiło go jednak, że stanął on przed jego domem. Najwidoczniej ktoś wysiadł i podążył do sieni — gdyż rozeznał trzask zamykanych drzwiczek a następnie poważne kroki.

Za kilkanaście sekund rozległ się dzwonek.

— Zapewne ktoś z okolicznych dworów zachorował i przyjechali po mnie — przyszło mu na myśl.

Niedługo potem dobiegła go rozmowa służącej z przybyłym, który pytał, czy lekarz Brutanek jest w domu. Głos obcego wprawdzie wydawał mu się znajomy, ale trudny do rozeznania.

Między salonem a przedpokojem znajdował się pokój przyjęć, tak, że dochodził silnie słumiony.

Po chwili posłyszał skrzypienie drzwi w pokoju przyjęć, kilka kroków, a w końcu pukanie do salonu. W otwartych drzwiach zobaczył hrabiego Radwanyi.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Złudzenie.

Ulicami przewalał się tłum różnokolorowy, korzystając z pięknego dnia i ciepłych promieni słonecznych. Wesołe głosy rozmów, ryki aut, zgrzyt tramwajów rozlegały się zmieszanemi głosy; roznosiciele gazet krzykliwie oznajmiali najnowsze nowinki. Bezrobotni kręcili się wszędzie i bezcelowo. Tępemi oczyma spoglądali na pełne wystawy, patrzyli na dumnie wznoszące się kominy fabryczne, które już nie dymiły, jak dawniej, gdy można było pracować i zarabiać na codzienne potrzeby.

Zbliżał się wieczór.

Z bramy fabrycznej wyszło dwóch młodych mężczyzn. Ubrani w kurtki skórzane i czapki sportowe. Szli spiesznie. Jeden z nich o jasnych oczach i bladej twarzy rzucał ukradkiem spojrzenia na swego towarzysza, który groźnem spojrzeniem i z zaciśniętemi ustami patrzał na wspaniałe wille i lśniące bogate limuzyny, mknące z wielką szybkością. Naraz stanął i wskazując na piękne pałace, rzekł z nienawiścią:

— Patrz, towarzyszu Jurku, to pałace kapitalistów. Lecz ich panowanie już się kończy... My zajmiemy w nich miejsca.

Lecz umilkł, bo za niemi szedł jakiś nieznajomy pan w rogowych okularach. Wreszcie stanęli przed jakąś ruderą kilkopiętrową.

— A zatem do zobaczenia towarzyszu Gliksman. Dzisiaj o godzinie dziewiątej?...

— Tak, będzie przemawiał towarzysz Dejmel w bardzo ważnej sprawie.

To powiedziawszy, odszedł. Jurek patrzał za nim w jakiemś zamyśleniu. Wreszcie szybkim krokiem szedł po schodach do swego mieszkania na poddaszu.

Wszedł do ciemnej i zadymionej izby. Koło pieca kręciła się tęga kobieta w nowym fartuchu. Przy stole siedział stary mężczyzna i pykał fajeczkę, włosy jego już błyszczały siwizną. W kącie na łożu leżała młoda dziewczyna, włosy jej czarne w nieładzie, twarz blada i zapadła robiła ją o dużo starszą. Z małego okna skąpo dochodziło światło, które z trudnością rozpraszało mroki izby. Leżąca spojrzała na wchodzącego i przez jej twarz przemknął blady uśmiech a oczy zda się żywiej zabłysły.

— Dobry wieczór — rzekł, wchodząc.

Zbliżył się do łoża chorej. Chwycił jej wychudłą i rozpaloną dłoń i spojrzał w jej ciche i jasne oczy.

— Czy był lekarz?

Skinęła głową i z ust jej wypłynął szept, jak szelest spadających liści w dnie trwożne, jesienne.

— Jeszcze wyzdrowieję, Jurku... Będę pracować, jak dawniej, a wtedy znów nam będzie dobrze. Będziemy mogli znów...

Nie dokończyła, bo gwałtowny kaszel począł wstrząsać jej słabą piersią. W oczach jej pojawiły się łzy i błyszczały w mroku, jak perły najczystsze.

— Nie płacz, Wisienko. Da Bóg, wyzdrowiejesz, a wtedy znów nam będzie dobrze. Zmienimy mieszkanie i będziemy szczęśliwi.

— Gdyby ona się tak nie przejmowała, toby ją prędzej opuściła ta choroba — mówiła Jacentowa, która krzątała się przy piecu.

Chora już się uspokoiła i oddech jej stał się więcej regularny — zasypiała.

— Proszę o kolację, gdyż muszę iść na zebranie.

Poszedł do drugiej małej izdebki, gdzie począł się szybko przebierać. Coś go ściskało w piersi, coś dławiło. Przypomniał sobie Wisienkę, gdy jeszcze pracowała we fabryce, tej samej, co on. Zdrowa była, ale sierota. Tak jak i on bez ojca, bez matki. Jednego razu zaziębiła się i przyszło zapalenie płuc. Od tego czasu nie może przyjść do zdrowia. Ją jedną miał na świecie i kochał ją sercem całem. A tu, ona codzień to słabsza — w oczach niknie. Żeby to chociaż inne mieszkanie, ale cóż, kiedy nie starczy na to jego zarobek.

Zjadłszy kolację, zbliżył się do jej łoża — spała. Patrzał na nią, w jej bledziunią twarz. Słyszał jej szybki oddech i żal go dławił — coś mu szeptało:

— Zostań, nie chodź nigdzie...

— Nie wiele już w niej pozostało życia, panie Jurku — mówił do niego starzec i patrzał na niego z litością. — Niech pan dzisiaj nie idzie do tych tam komunistów. Szkoda was Jurku.

— Muszę iść — rzekł głuchym głosem — bo tylko oni potrafią dzisiaj zaprowadzić ład; oni potrafią ująć się za dolą i krzywdą biednego człowieka; oni wyrównają te bogactwa, których jedni mają za dużo, a drudzy giną w nędzy i chorobie. Powiadam, przyjdzie czas, panie Więckowski, że kapitaliści ne będą gnębić biednej ludności — będzie równość.

— Czy taka, jak w Rosji?

— Nie, Rosja jest nam przykładem. My zastosujemy inne metody.

To powiedziawszy, wyszedł spiesznie. Od strony łoża szedł płacz cichy... płacz żalu serdecznego.

Zbliżył się do niej starzec i pogładził ją po głowie.

— Nie płacz, dziecko, przyjdzie czas, że on zrozumie swój błąd i będzie znów tem, cezm był dawniej: dobrym synem naszej Ojczyzny.

Wieczór był księżycowy. Promienie jego szły prze otwarte okno i oświetlały bladą twarzyczkę chorej. Leżała cicha i spokojna, z oczyma otwartemi. Słyszała miarowe tykanie zegara, wiszącego na ścianie. Czasem dolatywały ją jakieś zmieszane głosy z ulicy, to znów jakieś auto zajęczało — i znów cisza.

Dochodziła godzina dwunasta.

— Jurka jeszcze niema — przychodziła jej myśl niespokojna. — Czy mu się tylko coś nie stało złego. Przecież on jej tylko pozostał na świecie.

Zegar miastowy począł wydzwaniać godzinę dwunastą. Jakoś głucho głos jego rozlegał się miarowo i bezlitośnie, jak bezlitosny jest czas, który leci i, jak bezwzględne jest przeznaczenie, które się do nas zbliża nieubłaganie i obejmuje nas w swe władcze dłonie. Napróżno się człowiecze rzucasz, napróżno uciekasz, bo to co cię czeka i tak cię nie ominie.

Przed jej oczyma przechodziło całe jej życie, tułacze życie. Matka jej zmarła, gdy ona jeszcze dzieckiem była. A ojciec zginął w legjonach w walce o wolność Polski. Sama była na świecie, jedynie Jurek opiekował się nią, gdyż znali się od dziecka. Kochali się i ślub ich miał się odbyć, lecz choroba przeszkodziła temu. On sam stał się komunistą, wciągnięto go do siebie i przerobiono zupełnie po swojemu. Już nawet siedział w areszcie za agitację. Zbyt to dobry chłopiec i żal ściskał jej serce. Poczęła się modlić, ażeby go Bóg naprowadził na dobrą drogę i raczył zachować od złego. Łkanie wstrząsnęło jej słabą piersią i łzy płynęły po jej bladej i zmizerowanej twarzy.

— Wisienko, dlaczego płaczesz? — pytał troskliwie Jurek, pochylony nad nią.

— Jurku, wróciłeś... To dobrze, bo ja już wnet umrę.

— Nie mów tak najdroższa. Wyzdrowiejesz i będziemy szczęśliwi — razem.

— Nie, Jureczku, ja odejdę.

Zamknęła powieki i oddech jej stał się więcej regularny i spokojny. Patrzał na nią ze smutkiem i widział, że życie jej już ulatuje, że nic go już powstrzymać nie zdoła... W proch rozsypują się jego marzenia i cele — sam pozostanie na świecie. Wtem otworzyła swe oczy i patrzała na niego jakoś dziwnie, oczy jej błyszczały dziwnym blaskiem.

— Jurku, kochasz ty Ojczyznę naszą, Polskę?

— Nad życie! Wisienko.

— To przyrzec mi, że więcej nie będziesz działał na jej szkodę.

— Przysięgam!

— Pamiętaj, że ojcowie nasi dla Niej przelewali krew i oddawali życie w ofierze... Ja już odchodzę, ale o tobie nie zapomnę... byłeś dla mnie zawsze taki dobry...

Twarz jej zajaśniała jakimś blaskiem nadziemskim. Z uśmiechem wyciągnęła przed siebie swe białe dłonie. Zasnęła nazawsze spokojna już i cicha.

(Dokończenie nastąpi).

Staropolski zaścianek szlachecki.

W bardzo dawnych czasach, bo około 1500 lat temu, ziemia w Polsce nie była niczyją własnością, lecz należała do wybitnych plemion. Na czele tych plemion stał książę, który rozdawał ziemię w nagrodę zasłużonym w boju rycerzom, szlachcie, natomiast chłopi, którzy na wojnę wcale nie chodzili, gruntów na własność nie mieli, lecz siedzieli na gruntach pańskich, jako dzierżawcy, a czynsz dzierżawny płacili szlachcie zbożem, bydłem, pieniądzmi, lecz najwięcej robocizną. Toteż taki chłop-dzierżawca musiał odrabiać panu przez 4 dni w tygodniu przymusowo robociznę, t. zw. pańszczyznę, dlatego też panwłaściciel mógł się urządzić jak najwygodniej i najbezpieczniej. Dwory i zaścianki budowała szlachta po wsiach na wzór małych fortec, by wrazie potrzeby można się było zamknąć zarówno przed wrogiem, jak przed najazdem awanturniczego sąsiada.

Całe obejście dworskie opasane było zamiotem, czyli parkanem z desek, wpuszczonych w silne słupy dębowe. Podwórza strzegła silna brama, wstępu zaś do domu broniły silne, dębowe, ciężko okute drzwi wchodowe i grube żalazne kraty w oknach. Drzwi nietylko wchodowe, lecz nawet z izby do izby zaopatrzne były w ślepe zamki, wrzeciądze, haki, klamki, zasuwki, kłódki i t. p. Dom budowano w ten sposób, by wszystkie jego strony były oświetlone promieniami słońca o każdej porze dnia, do budowy zaś domów używano drzewa przeważnie modrzewiowego. Domy były parterowe, pokryte dachem wysokim, spiętrzonym. Przed głównem wejściem urządzano ganek na słupach. Od ganku prowadziła przez cały dom ogromna sień, która oddzielała mieszkanie pana od izb czeladnych. Pierwszą izbą po stronie mieszkania dziedzica była izba stołowa o 8 oknach, oprawnych w drzewo lub ołów. Urządzenie jadalni było skromne. Dwa wielkie dębowe stoły, jeden mniejszy lipowy, duże zydle a na ścianach półki na naczynia, w kącie piec polewany i kominek.

Z jadalni prowadziły drzwi do izby bawialnianej, czyli świetlicy o 3 oknach szklanych, oprawnych w ołów i podłodze parkietowej. Przy ścianie stał polewany piec, przy nim murowany komin, na środku 3 małe stoliki i 1 zydel. Dalej mieściły się komnaty, czyli pokoje mieszkalne. A więc w rogu domu alkierz, pokoje gościnne, pokoje złożone, pokoje białogłowskie i t. d. Z boku znajdowały się komory, do chowania sprzętów i różnych zapasów, komórka ku wygodzie i t. d.

Przy domu była kuchnia duża i kuchenka mała, piekarnia, sucha spiżarnia, zimna piwnica murowana, łaźnia, lodownia, na stronie duże stajnie i budy dla psów. Na uboczu w oddalenu gumna na zboże, gorzelnia, osobne mieszkania dla ekonoma, ogrodnika, rymarza, cieśli, kowala i leśniczówka.

W większych dworach od bocznej strony urządzona była kaplica dworska, w której odprawiało się 3 razy w tygodniu nabożeństwo. Ogród dworski wymierzony w kwadrat, pochyły od południa ku słońcu, pełny kwiatów i ziół, za nim sad owocowy, a w nim wirydarz pełen róż, fjołków, narcyzów, lilij,

w cieplarni nawet wino, figi i pomarańcze. W wirydarzu altana ocieniona bluszczem lub dzikiem winem, pod lipami pasieka.

Wnętrze domu urządzone bogato i pięknie. Kobierce, makaty i kilimy pokrywały nietylko całe ściany, ale nakryte niemi były również wszystkie łóżka, stoły, stołki i ławy. Na ścianie na kobiercach cenne i piękne pamiątki zdobyczne, jak: niemieckie pistolety, szpady szwedzkie, buńczuki tureckie, janczarki tatarskie, moskiewskie ikony, tudzież cała zbrojownia rycerza, pamiątka po przodkach: szable, buzdygany, tarcze, szyszaki, kolczugi, koszulki druciane itp.

Ostatnio czasy się zmieniły. Dwory i zaścianki po wsiach poupadały, grunta dworskie w większej części rozparcelowane lub przeszły w ręce obcych, a zabudowania dworskie, w których w dawniejszych czasach wrzało życie pełnem tętnem, niszczeją powoli, jako niestosowne do dzisiejszego trybu życia.

Piotr Wenc.



Poradnik gospodarczy.

Jak obchodzić się z jajami?

W małych gospodarstwach rolnych, które produkują dużo jaj, zdarza się bardzo często, że wartość obniża się z powodu nieumiejętnego postępowania z kurami i z jajami. Dlatego też podajemy wskazówki, jakich w tej sprawie udziela znany na polu hodowlanym teoretyk i praktyk p. A. Zacharski.

Jaja kurze są znakomitym środkiem spożywczym, są one pożywne i łatwostrawne. Tak wysokie zalety posiadają tylko jaja pochodzące ze starannej produkcji, a więc świeże i mające czystą skorupkę.

Jaja, przeznaczone na sprzedaż, powinny być jak najświeższe, nie starsze latem nad cztery, a zimą nad siedem dni.

Skorupka jaj powinna być czysta i posiadać połysk. Warstwa brudu na skorupie jaj nie jest tylko wadą piękności, jak to niektórzy twierdzą, radząc usuwanie brudu przed użyciem jaj przez płókanie i mycie. Jaj brudnych stanowczo myć nie należy, gdyż skorupka traci naturalny wygląd przez usunięcie kleistej warstewki nadskorupkowej, chroniącej treść jaja od zakażenia i zepsucia.

Brud na skorupce jaja, to siedlisko bakterji i pleśni, wywołującej szybkie psucie się jaja, wreszcie jest to świadectwo niechlujnej produkcji jaj.

Każdy producent powinien: 1) urządzać dla kur nośnych odpowiednie gniazda, na 4 do 5 kur nośnych przeznaczyć jedno gniazdo. 2) Gniazda ustawiać w kurniku lub w innem miejscu, w którem kury nie będą niepokojone. 3) Gniazda utrzymywać sucho i w czystości, często zmieniając podściółkę. Siana na podściółkę nie używać, aby jaja nie nabierały woni wydzielonej przez zioła znajdujące się w sianie. 4) Do gniazd dawać na podkładki jaja sztuczne, gipsowe lub fajansowe, a nie jaja naturalne. 5) Jaja wybierać z gniazd 2 do 3 razy dziennie, aby kury jaj niepotrzebnie nie wysiadywały i nie wygrzewały. 6) Do czasu sprzedaży przechowywać jaja w miejscu suchem, czystem, chłodnem, przewiewnem i ciemnem, zdala od przedmiotów wydzielających ostrą woń. 7) Nie wkładać jaj do koszów lub skrzynek brudnych. Staranny producent sprzedaje jaja czyste lecz nie myte, świeże, o treści zdrowej i nie zbulgotane, dające się po zbiciu swobodnie opróżnić. Za jaja świeże osiąga się ceny dobre, za towar stary i brudny, a więc mało wartościowy, osiąga się ceny niskie.



Hodowla raków.

W stawach o słabym odpływie wody, których brzegi obrosłe są krzewami lub drzewami można z dobrym skutkiem hodować raki.

Rak rzeczny (Astacus fluviatilis) należy do skorupiaków. Ciało jego pokryte twardą skorupą barwy ciemno-brunatnej lub zielonawo-czerniawej, która po ugotowaniu staje się czerwone. Głowę, tułów i przedkałdunie ma zrosłe w jedną całość, oczy złożone i osadzone na ruchomym trzonku. Zakałdunie ma zwężone i długie, złożone z obrączek, opatrzonych nóżkami.

Oddycha zapomocą skrzeli, które są umieszczone po bokach tułowia pod skorupą.

Rak żyje dziko w naszych rzekach, potokach i stawach ale z powodu nieoględnej gospodarki i zaraźliwych chorób staje się coraz rzadszy. Jest żarłoczny i drapieżny, przez dzień siedzi ukryty w norze pośród korzeni lub kamieni, w nocy wyłazi na żer, czołgając się zawsze wstecz (raczkuje) i zjada ślimaki, żaby, rybki, robaki jakoteż padlinę wszelkiego rodzaju. Samica przykleja ikrę wielkości prosa do nóżek zakałdunia i nosi je do czasu wylęgu młodych racząt, które odtąd pozostawione są własnemu losowi. W lipcu lub sierpniu leni się, tworzy mu się wówczas nowa skorupa pod starą, która zwolna odpada. W tym czasie rak jest osłabiony i przesiaduje przeważnie w norze. Nowa skorupa jest zrazu miękka i blada, dopiero z czasem twardnieje i nabiera właściwej barwy. W żołądku leżącym zaraz za gębą znajduje się u raków, nim zrzucą skorupę, małe kamyki kształtu półkulistego, zwane błędnie raczemi oczami.

Utracone członki, jak szczypce lub nogi odrastają rakowi napowrót ale są zawsze mniejsze niż pierwotne i stąd często można spotkać raka, który ma jedną nogę tejsamej pary mniejszą od drugiej. Mięso raków jest smaczne, należy tylko pamiętać, aby żywe raki rzucać zawsze na gorącą wodę celem skrócenia ich męczarni.

Chcąc hodować raki w stawie, puszcza się je w jakiejkolwiek porze w stosunku samców do samic jak 1:3. Żywić je można odpadkami z mięsa lub padliną a także gotowanemi ziemniakami lub marchwią.

KRONIKA.

Książeczki ze znaczkami pocztowemi. Poczta nasza ma zamiar wprowadzić sprzedaż znaczków pocztowych różnej wartości w książeczkach. System sprzedaży w książeczkach zamiast w arkusikach przewyższa dotychczasowy, gdyż znaczki nie niszczą się przed naklejaniem. Koszt wyrobu notesika opłaci się poczcie, gdyż na kartkach, przedzielających marki, będą umieszczane ogłoszenia płatne.

Srebrne 10-złotówki. W pierwszych dniach sierpnia b. r. puszczone będą w obieg nowe 10-złotowe monety srebrne. Bank Polski już od dłuższego czasu wycofuje z obiegu 10-złotówki papierowe, aby je zastąpić srebrnemi. Srebrne 10-złotówki będą nieco większe od kursujących obecnie 5-złotówek.

Targi kalwaryjskie. W Kalwarji Zebrzydowskiej szczególniej silnie jest rozwinięty przemysł stolarski. Wyrabiają tam znaczną ilość mebli, które potem wywożą do miast, aby służyły dla wygody i pożytku ich mieszkańców. Nie wszyscy jednak znają te wyroby, a wielu nawet nie wie, że wyroby takie istnieją. Aby je więc dać poznać szerszemu ogółowi, urządzono tam obecnie tak zwane „Targi", czyli rodzaj wystawy, na której każdy może się zaznajomić z wyrobami przemysłu kalwaryjskiego. Otwarto je w niedzielę dnia 17 b. m., a trwać będą przez kilka tygodni, toteż każdy będzie miał sposobność je zwiedzić i przekonać się o solidnem wykończeniu tamtejszych wyrobów. Na wystawie, oprócz mebli, znajdują się także wyroby koszykarskie, hafty, batiki, wyroby płócienne i t. p.

Kurs przetworów owocowych w Moszczenicy. W pierwszej połowie lipca odbył się trzydniowy kurs przetworów owocowych w Moszczenicy w powiecie gorlickim. Kurs ten był dziełem ks. Feliksa Podgórniaka, a przeprowadziła go instruktorka z Krakowa p. G. Gołdówna. Zorganizowaniem kursu zajęły się nauczycielki pp. G. Gorczycówna i G. Niepokojówna. Gosposie tutejsze skorzystały wielce z wykładów na kursie, a wystawa plonów kursu, jakoteż jego zakończenie wypadły wspaniale. Na uroczystość zakończenia kursu zjechali z Gorlic pp. starosta, inspektor szkolny Steranka, instruktor rolniczy i urzędnik Rady szkolnej powiatowej Szczeklik. Nadto byli obecni miejscowi księża, kierownik szkoły p. Wanat z członkami grona nauczycielskiego. W czasie skromnego podwieczorku przemówiła do gości prezeska Koła p. Jemiołowa, dziękując gościom za przybycie. Następnie przemówił p. starosta, podnosząc pożyteczną pracę Koła młodzieży w Moszczenicy i wyrażając jej swe uznanie, oraz obiecując opiekę i pomoc. Gmina Moszczenica pod kierunkiem duchowieństwa i nauczycielstwa pracuje w kierunku postępu i oświaty, mając do tego celu wspaniały Dom młodzieży.

Piękna dziewoja przyczyną morderstwa. W Jeżowem (pow. Nisko) dwóch młodzieńców zakochało się w jednej, pięknej dziewoi miejscowej. Tomasz Iskra i Michał Drzymała rywalizowali ze sobą o jej względy. Iskra miał więcej szczęścia u dziewczyny, więc też Drzymała nie mógł tego przeboleć. Kiedy obaj zaczęli sprzeczać się ze sobą o dziewczynę, Drzymała strzelił niespodziewanie z rewolweru do Iskry i położył go na miejscu trupem. poczem zbiegł do lasu. Tu jednak przytrzymano go i odesłano do aresztu.

Trzy wyroki śmierci. W Sanoku odbył się przed sądem doraźnym proces przeciw czterem włościanom, którzy brali udział w rozruchach w Łobozwi w powiecie liskim, a mianowicie Michałowi Małeckiemu, Piotrowi Madejowi, Wasylowi Dunykowi i Antoniemu Pasławskiemu. Jak to już pisaliśmy w „Roli", jacyś agitatorzy rozpuścili tam pogłoskę, że panowie chcą przywrócić pańszczyznę. Wskutek tego zebrał się kilkutysięczny tłum, a gdy policja chciała go rozpędzić, rozbroił policjantów, a nawet z zabranych policji karabinów poczęto strzelać do innego oddziału policji, który przybył na miejsce wypadku. O strzelanie to zostali oskarżeni wyżej wymienieni chłopi. Po czterodniowej rozprawie zapadł wyrok, skazujący Małeckiego, Madeja i Dunyka na karę śmierci przez powieszenie, zaś Pasławskiego na dożywotnie więzienie. Po ogłoszeniu wyroku Pasławski dostał ataku nerwowego, poczem zemdlał, a Madej dostał ataku szału. Adwokaci udali się natychmiast po ogłoszeniu wyroku telefonicznie do Pana Prezydenta z prośbą o łaskę. Po kilku godzinach nadeszła od Pana Prezydenta wiadomość, że ten w drodze łaski zamienił skazanym karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Żydzi pobili listonosza. Do mieszkania Józefa Friedmana przy ulicy Łyczakowskiej we Lwowie przyniósł w sobotę listonosz telegram. Ponieważ żydom nie wolno nic robić w sobotę, więc Friedman prosił listonosza, aby mu telegram otworzył i przeczytał. Usłużny listonosz uczynił zadość prośbie, a po przeczytaniu zażądał, aby Friedman potwierdził odbiór depeszy. Żyd odmówił, a kiedy listonosz w myśl przepisów domagał się stanowczo potwierdzenia odbioru, wówczas Friedman, zięć jego Aron Reiber i lokator Maurycy Heinberg rzucili się na niego i pobili go dotkliwie. Widząc to sąsiad p. Lewicki, wezwał policję, która listonosza uwolniła z rąk żydowskich, a awanturników aresztowała. Ciekawa religja, która zabrania podpisywania recepisu, a dozwala bicie katolika.

Powiat bez wódki. W powiecie Turka w Małopolsce Wschodniej przeprowadzono plebiscyt za i przeciw wódce. Większość mieszkańców oświadczyła się przeciw sprzedaży wódki, więc też wszystkie karczmy w tym powiecie będą zniesione.

Rok święty w Częstochowie. W dniu 14 sierpnia b. r. ma się odbyć w klasztorze na Jasnej Górze 550-letni jubileusz umieszczenia tam cudownego obrazu Najświętszej Marji Panny. Ostatnio powstał projekt, aby jubileusz ten rozciągnąć na cały rok, jako „rok święty". Odniesiono się już z prośbą do papieża o zezwolenie na takie przedłużenie.

Lew w Kielcach. Kielce miały niezwykłą i niezbyt przyjemną sensację. Oto z bawiącego tam cyrku wymknęła się niepostrzeżenie lwica, która wpadła do parku miejskiego i zaszyła się w gęstwinie. Biegnąc przez ulice, spotkała kilku przechodniów, którzy znieruchomieli z przerażenia. Ale lwica nie zaczepiała nikogo, lecz biegła dalej. Wieść o ucieczce strasznego zwierzęcia rozbiegła się lotem błyskawicy po mieście. Policja natychmiast opróżniła ogród miejski i otoczyła go z najeżonymi bagnetami. Wezwano również wojsko na pomoc. Z cyrku przybył poskromiciel dzikich zwierząt w towarzystwie licznej służby. Rozpoczęło się reuglarne polowanie. Po kilku godzinach udało się wreszcie poskromicielowi przy pomocy policji i wojska wpędzić lwicę w sidła i w ten sposób wspaniałe zwierzę, niedługo ciesząc się wolnością, wróciło znowu do klatki.

Pomysłowa oszustka. W Warszawie grasuje od jakiegoś czasu pewna utalentowana autorka powieści dla dzieci, która w zbrodniczy sposób stara się powiększyć swe dochody. Miała ona już z tego powodu kilkakrotnie do czynienia z sądem. Ostatnio chwyciła się nowego sposobu. Oto znajoma jej panna, u której oszustka często bywała w gościnie, zgubiła cenną branzoletę. Oczywiście użaliła się z tego powodu przed ową oszustką. Ta objawiła gotowość odnalezienia branzoletki, a gdy poszkodowana zgodziła się na to, opowiadała jej

niestworzone rzeczy. W czasie rzekomych poszukiwań wyłudziła od przyjaciółki 500 złotych. Wreszcie odnalazła ową branzoletkę, ale jak się okazało, nikt inny tej branzoletki nie skradł, tylko sama oszustka, która tylko udawała, że jej szuka, a po otrzymaniu 500 złotych, rzekomą zgubę zwróciła. I znów zasiędzie na ławie oskarżonych.

Żydzi mordercami. Jan Rusinek i Józef Habior w towarzystwie pewnej znajomej powracali z wesela przez ulicę Krochmalną w Warszawie. Zastąpiło im drogę czterech żydów, z których jeden zwrócił się do Habiory ze słowami: „Dziewkę daj nam!" Zaczepiającego odepchnął Rusinek i towarzystwo poszło dalej. Gdy znaleźli się przy zbiegu ulicy Ciepłej i Grzybowskiej, natknęli się znów na tych samych czterech drabów. Jeden z nich wyjął nóż i z okrzykiem: „Nie chciałeś oddać dziewki, to teraz masz!" — wepchnął nóż w brzuch Rusinkowi. Rusinek padł na ziemię, zalewając się krwią i wkrótce zmarł. Napastnicy zbiegli, ale policja zdołała już stwierdzić, kto dokonał morderstwa i jest na tropie morderców.

Zniesienie wyroku śmierci. Sąd Najwyższy w Warszawie rozpatrywał apelację w sławnym procesie Rity Gorgonowej, która była skazana przez sąd przysięgłych we Lwowie za zamordowanie Lusi Zarembianki w Brzuchowicach na karę śmierci przez powieszenie. Z powodu niektórych niewłaściwości prawnych Sąd Najwyższy wyrok ten zniósł i polecił przeprowadzić nowy proces tym razem przez sąd przysięgłych w Krakowie.

Tragedja umysłowo chorej. We wsi Miesucin pod Inowrocławiem wykryła policja nieludzki czyn rodziców, którzy córkę swoją traktowali gorzej niż zwierzę. Umysłowo chora 30-letnia Kazimiera Fajutowska, córka właścicieli 270-morgowego gospodarstwa, była więziona w komórce od lat siedmiu. Rodzice nie wypuszczali jej nawet na krok poza komórkę i trzymali ją w tak fatalnych warunkach zdrowotnych, że chora robiła w chwili odnalezienia jej odrażające wrażenie. Gdy do komory weszła policja, Kazimiera leżała nago, skulona na pryczy z brudną słomą. Na widok urzędników policyjnych zakryła się rękami i krzyknęła: „Nie męczcie mnie, zabrałam tylko kawałek sera!" W komorze, w której więziono umysłowo-chorą, niema pieca do opalenia i zimą nieszczęśliwa chora zdana była na kilka strzępów szmat, które chroniły ją przed mrozem. Morzono ją również głodem, gdyż jest zupełnie wycieńczona i spragniona jedzenia. Chorą oddano do zakładu umysłowo chorych, a rodzice będą pociągnięci do odpowiedzialności.

Ofiara ojca. Z Gniezna donoszą: Mieczysław Stanaszek wsiadł z swoim siedmioletnim synkiem na konia, by go spławić w Wiśle. Gdy wjechali w wodę pod Karczewem, nagle koń zaczął tracić grunt pod nogami. Chciał się cofać, lecz prąd spychał go w dół rzeki na coraz większą głębię. Przez długą chwilę dzielne zwierzę walczyło z żywiołem, lecz wkrótce już całe ciało było pod wodą i jeno czubki uszu i chrapy chwiały się nad falą i wirem. Wówczas Stanaszek zrozumiał, co czynić należy. Wszak to jego ciężaru nie może udźwigać biedne zwierzę. Za chwilę woda naleje mu się do uszu, pysk pogrąży mu się w toni i będzie koniec dla nich wszystkich. Rozluźnił więc kolana, któremi trzymał się końskich boków i szepnąwszy synkowi: „Trzymaj się grzywy, on cię wyniesie!" — zsunął się z grzbietu zwierzęcia w głąb wody. Koń wyzwolony od ciężaru ponad siły natychmiast przezwyciężył napór prądu i istotnie, zawróciwszy do brzegu, chłopca wyniósł. Stary Stanaszek natomiast nie zdołał się utrzymać na powierzchni wody, gdyż nie umiał pływać, więc utonął. Chłopiec, widząc walkę z nurtami, pobiegł do wsi po ludzi. „Ratujcie tatusia, bo tonie!" — wołał. Zbiegli się wnet ludzie, ale wydobyli już tylko martwe ciało biednego rolnika.

Zniszczenie cmentarza. Z Pelpina donoszą, że silna burza, połączona z nawałnicą i piorunami, jaka przeszła nad Pomorzem, wyrządziła w całej okolicy znaczne szkody. Nie ominęła też miejscowego cmentarza, na którym porobione zostały wielkie wyrwy tak, że trumny powydostawały się z grobów i pływały po wodzie. Na niektórych grobach poprzewracały się pomniki, zaś inne groby zapadły się głęboko w ziemię.

Niezwykłe harce pioruna. Nad Starogardem i okolicą przeszła burza, jakiej nawet najstarsi ludzie nie pamiętają. Od ciągłych detonacyj drżały mury domów, a miasto w świetle fosforycznych błyskawic przybrało niesamowity wygląd. Burza wyrządziła spustoszenia ogromne, nie obeszło się też bez ofiar w ludziach. Ciekawe harce wyprawiał piorun w Ciecholewach koło Starogardu. Uderzywszy w szopę osadnika Ziółkowskiego, zabił tam śpiącego robotnika, poczem przeszedł do obory, gdzie uśmiercił dwie krowy, następnie ten sam grom zabił 6 kurcząt, znajdujących się pod kwoką, nie naruszając samej kwoki.

Niezwykły wypadek z piorunem. We wsi Ostrówek w powiecie koszyrskim wydarzył się niezwykły wypadek cudownego ocalenia dziecka po zabiciu jego piastunki przez piorun. Nad wsią tą przeszła niezwykle silna burza, po której zauważono pod drzewem przydrożnem stojącą nieruchomo 14 letnią Marję Miniczównę, trzymającą na rękach jej 2 letnią siostrzyczkę. Dziecko rzewnie płakało. Po zbliżeniu się do niego stwierdzono, że jeden z piorunów uderzył w drzewo, zabijając 14-letnią Marję, podczas gdy dziecku nic się nie stało. Niezwykły widok trupa dziewczynki, trzymającego na rękach dziecko, wywarł na mieszkańcach wsi wstrząsające wrażenie.

Jeszcze jedna zmiana religji. Jak wiadomo, były wikary z Wiśnicza, Faron, po odebraniu mu przez księdza biskupa w Tarnowie praw kapłańskich ogłosił się biskupem kościoła narodowego. Otóż obecnie ten „biskup" sprzykrzył sobie widocznie już nową religję, gdyż stara się o przyjęcie go wraz z jego nielicznemi owieczkami do kościoła prawosławnego.

Wandalizm bolszewików. Niedaleko wschodniej naszej granicy leży miasto Mińsk, należące, niestety, do Rosji. Tak w Mińsku, jak i w okolicach Mińska mieszka bardzo wielu Polaków katolików. Ponieważ Polacy są w swej znacznej większości zawsze dobrymi katolikami, więc nie podoba się to satrapom bolszewickim, którzy chcieliby, aby wszyscy stali się bezbożnikami tak, jak oni. Przeszkadza im w tem bardzo kościół. Otóż na zarządzenie władz bolszewickich zamknięto w Mińsku kościół katolicki św. Heleny i św. Symeona, polecając przerobić świątynię na teatr. W przerobionym tak kościele odbywają się już przedstawienia dla ludności polskiej, ale ludność ta z wyjątkiem kilku zbłąkanych ludzi nie chodzi na przedstawienia tak, że teatr świeci pustkami.

Wybory w Rumunji. W pierwszej połowie lipca odbyły się wybory do parlamentu rumuńskiego. Ostateczny wynik wyborów przedstawia się następująco: Narodowa partja chłopska zdobyła 277 mandatów na ogólną liczbę 387. Liberałowie otrzymali 28 mandatów, reszta różnych partyj uzyskała razem 82 mandaty. Partja chłopska jest stronnictwem rządowem i jej członkowie tworzą rząd obecny.

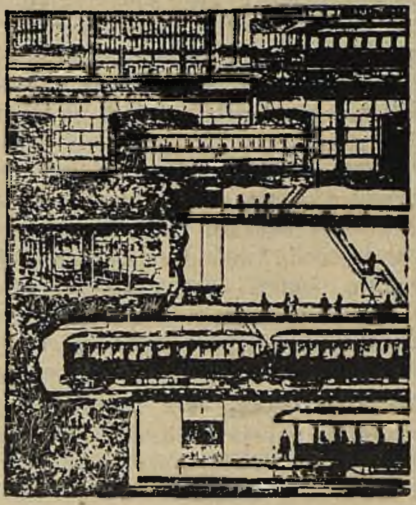
Przed wyborami w Niemczech W niedzielę dnia 31 b. m. odbędą się wybory do parlamentu niemieckiego. Do wyborów zgłoszono 27 list wyborczych. Komisja

wyborcza zatwierdziła z nich „tylko“ dwadzieścia jeden list. Lista mniejszości narodowych, na którą będą głosowali również Polacy, otrzymała numer 21.

Przewrót w Niemczech. Jak wiadomo, Niemcy są krajem związkowym, to znaczy, że składają się z większej ilości państw udzielnych, które na zewnątrz tworzą całość. Bawarję, Wirtembergję, Badenję, a więc kraje południowo-niemieckie zamieszkują przeważnie katolicy, a natomiast Prusy w znacznej większości protestanci. Każde z tych państw ma osobny rząd i osobny sejm, a wszystkie razem posiadają oprócz tego wspólny parlament, czyli tak zwany po niemiecku Reichstag, oraz wspólny rząd Rzeszy niemieckiej. Po wyborach do sejmu, w których niemal połowę mandatów zdobyli hitlerowcy, na czele rządu Rzeszy stanął kanclerz Papen, który zupełnie podporządkował się hitlerowcom. Natomiast na czele rządu pruskiego stał socjalista Braun. Socjaliści są zdecydowanemi wrogami hitlerowców, wskutek czego rząd Rzeszy miał inne dążenia, a rząd pruski inne. To nie podobało się hitlerowcom, gdyż dążą oni do tego, aby ująć całą władzę we wszystkich krajach niemieckich w swe ręce. Do tego celu mają im pomódz wybory, jakie odbędą się dnia 31 b. m. do Reichstagu. Gdyby jednak na czele rządu pruskiego stał socjalista Braun, nie wiadomo, jakby wypadły wybory dla hitlerowców, gdyż każdy rząd ma wielki wpływ na wybory dla swoich zwolenników. Dlatego też hitlerowcy wymogli na prezydencie Hindenburgu, że usunął dotychczasowy rząd pruski, a komisarzem dla Prus zamianował kanclerza Papena, za którego władzę będzie wykonywał jego zastępca nadburmistrz miasta Essen, Bracht. Oczywiście zarządzenie to wywołało w krajach południowo-niemieckich wielkie niezadowolenie, gdyż obawiają się tam, że Papen gotów i w tych krajach pousuwać rządy, a zamianować komisarzy. Trudno dziś przewidzieć, jak dalej ukształtują się stosunki w Niemczech, a mianowicie, czy przewrót ten minie spokojnie, czy też przyjdzie do walk domowych, gdyż socjaliści i komuniści ograżają się, że nie dopuszczą do tego, aby całą władzę ujęli w swe ręce hitlerowcy. Jak utrzymują niektórzy, przewrót ten jest pierwszym krokiem do przywrócenia w Niemczech monarchji, na której czele, jako cesarz, stanąłby znów Wiluś II, lub ktoś z jego najbliższej rodziny.

Niezwykły jubileusz. Oryginalną rocznicę będzie obchodzić tego roku Francja. Oto mija właśnie w tym roku 50 lat od chwili, w której po raz ostatni miano wykonać wyrok śmierci na kobiecie francuskiej zapomocą gilotyny. Że do właściwej egzekucji wówczas nie doszło, należy to przypisać niezwykłemu zbiegowi okoliczności. Oto pewna morderczyni, nazwiskiem Luiza Cannet, miała być stracona zapomocą gilotyny. Wszystko było już przygotowane, a delikwentka, przejęta panicznym strachem, szeptała gorączkowo modlitwy. Nagle pomocnicy kata porwali ją i przymocowali do deski, a kat spuścił ostrze gilotyny na jej szyję. Delikwentka zemdlała w tej chwili. Ale oto stała się rzecz nadzwyczajna, gdyż nóż gilotyny zatrzymał się o centymetr ponad karkiem skazanej, nie dotykając go zupełnie. I znów w jakiś niezwykły sposób skazana odzyskała przytomność, a widząc nad sobą straszne ostrze gilotyny, wydała rozdzierający krzyk. Zawtórowały jej obecne tam kobiety. nie mogąc powstrzymać się od spazmatycznego szlochu. Z piersi zgromadzonych wyrwała się mimowolna prośba o ułaskawienie. Nawet prokurator nie mógł powstrzymać się od wzruszenia. Nie mogąc wymówić słowa, dał ręką znak, aby skazaną odprowadzono do więzienia. Gdy się to stało, odniósł się do prezydenta rzeczypospolitej francuskiej o ułaskawienie, co też prezydent uczynił. Od tego czasu żadna kobieta we Francji nie została ścięta przez gilotynę, gdyż prezydenci, pomni na ów wypadek, ułaskawiają nawet największe zbrodniarki. Jak stwierdzono później, pod jednym palem gilotyny zapadł się teren o kilka milimetrów, wskutek czego pale nie stały równolegle. Opadający topór nie mógł więc gładko przejść między palami i zatrzymał się tuż nad głową skazanej.

Koleje podziemne w Nowym Jorku. Kto nie odwiedzał największych miast świata, tak w Europie jak Ameryce. nie może mieć wyobrażenia, jak olbrzymi ruch panuje na ich ulicach, Nietylko powozy, tramwaje, omnibusy, samochody i najrozmaitsze wozy pędzą w różne strony, ale ruch odbywa się i pod ziemią, w głębokich tunelach silnie sklepionych. Tunelami tymi jadą



miejskie pociągi a do stacyj, znajdujących się pod każdą większą ulicą, schodzi się po oświetlonych schodach jak do piwnicy. W Nowym Jorku przy budowie nowych linij podziemnych kolei natrafili inżynierowie na wielką trudność, mianowicie przekonali się, że na 10 metrów pod ziemią jest woda zaskórna, a tunel dla kolei musi być prowadzony niżej, w głębokości 22 metrów. Po trudnych obliczeniach zdołali zapomocą betonowych sklepień zabezpieczyć owe podziemne drogi kolejowe i kolej kursuje nowemi linjami bez żadnej przeszkody. Oczywiście ta podziemna droga kolejowa kosztowała miljony. Na taki wydatek pozwolić jednak sobie mogło miljonowe miasto Nowy Jork, gdzie ruch jest olbrzymi.

Nowe pokłady złota w Brazylji. W stanie Matto Grosso w Brazylji odkryto żyłę złota. Wiadomość ta ściągnęła tłumy rozmaitych poszukiwaczy szczęścia i awanturników z całego świata. Dls utrzymania porządku zorganizowano osobną policję. Władze nie mogąc dać sobie rady, ogłosiły, iż wcale nowych pokładów złota nie odkryto, ale ogłoszenie to wywołało wręcz przeciwny skutek od zamierzonego; jeszcze większe tłumy ludzi poczęły tam napływać. Stan Matto Grosso jest trzy razy tak duży, jak cała Polska, a ludności posiada zaledwie pół miljona. Jest on jeszcze mało zbadany, więc nie wiadomo, jakie skarby posiada w swem wnętrzu.

Nowe plemię indyjskie. Na terenie prefektury apostolskiej Górnego Solimoes w Brazylji, tak nazwanej od dopływu Amazonki, przepływającej przez jego terytorjum, wykryli pracujący tam Kapucyni włoscy nieznane dotąd plemię indyjskie Yauasów, wśród których zaraz rozpoczęli swą działalność misyjną. Plemię Yauasów, osiadłe nad brzegami rzeki Yavari, pochodzi według własnej tradycji od starożytnych Inków peruwiańskich, posiada wielki pociąg do cywilizacji i chętnie przyjmuje nauki misjonarzy. Na razie zdołano 18 z nich pozyskać dla wiary i udzielić im Chrztu św., ponieważ jednak plemię to odznacza się wysokiem zrozumieniem moralności, a zwłaszcza wielkiem poczuciem świętości rodziny, jest nadzieja, że wkrótce postępy chrystjanizacji będą bardzo znaczne.

RZECZY CIEKAWE.

Budownictwo u ptaków.

Ptaki nasze znają się bardzo dobrze na architekturze. Potrafią one budować dla siebie mieszkania najrozmaitszego kształtu, zależnie od swej natury. A każdy z nich buduje gniazdo innego rodzaju. Jedne ograniczają się do wysłania miękkiego dołeczka



gdzieś pośród traw i zbóż, inne, jak wrony, gawrony kruki i kawki, znoszą gałęzie na drzewa i tam pomiędzy dwoma konarami lub gałęziami budują gniazdo, które potem wyścielają liśćmi, trawą lub wogóle czemś miękkiem, aby się jaja nie zgniatały i młodym było wygodnie siedzieć. Nasza jaskółka w jakżeż misterny sposób lepi swe gniazdko gdzieś pod gzymsem budynku, albo pod strzechą wieśniaczą. W dzióbku nosi drobiny błota, przykłada jedną do drugiej, póki nie powstanie koszyczek, gdzie może się zmieścić kilka jajek i samiczka, która je składa. Są ptaki, które budują swe gniazda w dziupłach drzew. Samica po wyścieleniu gniazda i zniesieniu jaj usadawia się w swej nowej siedzibie, a małżonek zamurowywuje je tak, że ta przez pozostawiony otwór może tylko głowę na zewnątrz wystawiać. Póki się młode nie wykłują, małżonek znosi jej pożywienie, a po wykłuciu się młodych dopiero odsklepia i wypuszcza na wolność. Można sobie wyobrazić tragedję matki, jeżeli mąż jej zginie, gdy ona jest zamurowana. Wówczas ginie, biedaka, z głodu w swem więzieniu.

Na obrazku naszym widzimy inne oryginalne gniazdo ptasie, zbudowane gdzieś na wybrzeżu morskiem w postaci góralskiego szałasu. Małżonka wygrzewa w niem młode, a małżonek znosi jej przeróżne ślimaczki na pożywienie, z których tylko kupka muszli pozostała obok ptasiej chaty.

I gdy zastanowimy się nad zmyślnością wszelakiego stworzenia na świecie, musimy podziwiać mądrość Bożą, który dał tem stworzeniom jakiś instynkt, którym się kierują i zapomocą którego bez żadnej nauki potrafią tworzyć dzieła, jakie tworzyli ich przodkowie przed setkami lat.

Cześć oddawana krokodylom.

Młody antropolog australijski, p. Donald Thomson ma się udać wkrótce, wraz z żoną przy poparciu materjalnem ze strony uniwersytetu w Melbourne, poraz drugi w podróż do najbardziej dzikiej i najmniej znanej miejscowości w Australji północnej, położonej w okolicach zatoki Caledon. Podróż potrwa 2 lata. Miejscowość tę zamieszkuje plemię tubylcze, którego język jest niemożliwy do wyrażenia na piśmie, bo składa się z samych gwizdań i warczeń.

Podczas pierwszej podróży p. Thomson odkrył ciekawe ceremonje kultu, pochodzenia przypuszczalnie papuaskiego. Ceremonje te są połączone z tańcami i maskaradami, poświęconemi krokodylowi. Gdy jednak zabierał się już do sfilmowania ceremonji, zjawił się nagle pewien misjonarz protestancki i oświadczył, że nie pozwoli filmować, bo mu się udało nakłonić tubylców do porzucenia praktyk bałwochwalczych.

Obecnie podróżnik spodziewa się, że nic już nie przeszkodzi mu dokonać interesujących zdjęć.

Największa mapa.

W Ameryce, w miejscowości Wellesley w Stanie Massachusetts przygotowywana jest największa mapa na świecie. Mapa ta, pomysłu statystyka W. Robsona, będzie liczyła 60 stóp długości i tyleż szerokości, a przedstawiać będzie najdokładniej Stany Zjednoczone oraz Kanadę. Przygotowywanie tej mapy rozpoczęto przed pięciu laty... Obliczono, że na dokończenie całej żmudnej pracy potrzeba jeszcze conajmniej pięćdziesięciu lat. Koszt mapy wynosić ma dwa miljony dolarów.

Mapa Robsona nie jest płaska, lecz plastyczna, t. j. odzwierciadla wypukło wszystkie góry i doliny, rzeki, drogi i koleje, lasy, osady i miasta.

Proporcja plastyki utrzymana będzie z precyzyjną dokładnością w stosunku 1 cala na 4 mile angielskie poziomo, a 1 stopy na 4 mile pionowo. Da więc to patrzącemu zupełnie takie wrażenie, jak gdyby na dany teren patrzał z samolotu, znajdującego się na wysokości 12 mil. Mapa otrzyma też w zupełności koloryt krajobrazu z najdrobniejszemi szczegółami. Otoczona ogrodzeniem wysokości 15 stóp, dostępna będzie dla wszystkich. Będzie to prawdziwie najdokładniejsza i największa mapa w historji cywilizacji.

Historja nazwy Wielkopolska.

Dziś, nazwę „Wielkopolska" nadaje się zazwyczaj tej części byłego zaboru pruskiego, która stanowiła Wielkie Księstwo Poznańskie.

Granice Wielkopolski w ściślejszem znaczeniu tego słowa wykreślone były linjami rzek Noteci, Warty i Prosny. Nie obejmowała natomiast Wielkopolska należących dziś do województwa poznańskiego powiatów inowrocławskiego i bydgoskiego, tworzących dawniej osobne województwo inowrocławskie, oraz strzelińskiego, stanowiącego dawny powiat kruszwicki, który wchodził w skład dawnego województwa brzesko-kujawskiego.

Obejmowała natomiast dwa dawne powiaty, dziś należące do województwa łódzkiego, a mianowicie powiaty kaliski i koniński (po rozbiorach gra-

nice tych powiatów uległy zmianom i utworzono z ich części parę powiatów nowych). Cały wspomniany teren dzielił się na dwa województwa: poznańskie i kaliskie.

Poza tą ścisłą Wielkopolską, oznaczano w dawnej Polsce nazwą Wielkopolski jeszcze dwa województwa: sieradzkie z ziemią wieluńską, oraz łęczyckie. Te cztery województwa tworzyły Wielkopolskę w szerszem znaczeniu. Poza tem jako prowincję wielkopolską, przy podziale Rzeczypospolitej na „Koronę“ i „Litwę“, określano obok wspomnianych województw, również województwa Mazowsza, Kujaw i Pomorza.

Najbrudniejsze miasto.

Najbrudniejszem miastem na świecie jest Amoy w Chinach na wyspie tego nazwiska, istniejące od lat tysiąca. Żywi mieszkają tam wespół z nieboszczykami, gdyż wzgórza, na tórych wznosi się miasto, są zamienione na cmentarze. Studnie bardzo płytkie, kopane często między grobami, zawierają wodę błotnistą, i służą do wyrzucania nieczystości i wylewania pomyj; każdy plac stanowi wstrętną, nigdy nie wysychającą gnojówkę. W mieście panują okropne wyziewy, nic dziwnego więc, że śmiertelność jest znaczna.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

Odpowiedzi Redakcji:

Pp.: **Antoni Poloczek w P.:** Za tak miłe dla nas słowa uznania serdecznie dziękujemy. Staramy się, ile możności, aby „Rola“ rzeczywiście była zajmująca. Zagadki Pańskie, jak i inne utwory, chętnie drukujemy, w każdym jednak numerze nie możemy zamieszczać, gdyż trzeba i dla innych miejsce zostawić. — **Józef Cyra w P.:** Wprawdzie zagadek mamy dość duży zapas, ale i Pańskie możemy zamieszczać. „Roli“ bezpłatnie, niestety, wysyłać nie możemy. — **Jacek Orlik:** Z nadesłanych utworów skorzystamy z wyjątkiem p. t.: „Gaje azalji“, gdyż o tych gajach było już w kronice „Roli“. Ilustracje, nadsyłane przez Pana, nie nadają się do reprodukcji, szkoda więc niszczyć czasopism i powiększać objętość listu. Np. do ostatniego listu musieliśmy dopłacić 60 groszy, gdyż przekraczał normalną wagę. — **Piotr Wenc w S.:** Z Nadesłanych utworów skorzystamy; dziękujemy. — **Józef Serafin w M.:** Do jednego numeru zbyt długie, do dwóch jako opis rzeczy zbyt znanych przez wszystkich katolików, nie zajęłoby naszych czytelników. Nadaje się raczej do pisma ściśle religijnego. — **Andent z D.:** Obydwa utwory zamieścimy. Jako pierwsze próbki pracy literackiej posiadają pewne zalety, więc niech Pan pracuje dalej, a talent się wyrobi. — **Józef Kunda w ?.:** Administracja książki prawdopodobnie dlatego nie wysłała, ani na kartkę nie odpowiedziała, gdyż nie wiedziała adresu Pańskiego. I Redakcja również go nie wie, bo na listach pisze Pan: Józef Kunda i tyle, ale jaka miejscowość, jaka poczta, któż to odgadnie. Nawet poczty ze stampili pocztowej nie można odczytać, bo zawsze tak jest zamazana, iż żadnej litery nie znać. O ile Pan jest prenumeratorem, możnaby adres Pański odszukać w spisie prenumeratorów, ponieważ jednak spis prenumeratorów jest sporządzony według poczt, a nie nazwisk osób, trzebaby wyszukiwać pomiędzy tysiącami nazwisk, a na to Administracja niema czasu. Więc czyja tu wina? Z nadesłanych utworów skorzystamy. — **Józef Duda** z Francji: 20 fr. otrzymaliśmy i dziękujemy, jak również za nowego prenumeratora. Ucieszyła nas też treść listu. I w taki sposób trzeba do serca ludzi przemawiać, aby zrozumieli nietylko swój interes, ale i cudzy. Wzajemnie pozdrawiamy Pana. Ojcu Pańskiemu zaczęliśmy wysyłkę od Nru 25, w którym zaczyna się nowa powieść. — **Karol Bliks w C.:** Owszem, można pisać bez żadnych dla Pana nieprzyjemności. Wystarczy tytuł „Panie Prezydencie“. Adres: Do Pana Prezydenta Rzplitej Polskiej, Warszawa.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kwiat.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Duch u mahometan.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyspa koło Senegalu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Bogini grecka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę leśne.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Litera grecka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Węglowodor.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Cesarz Rzymski
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.

Litery w miejscach czarnych kwadracików dadzą rozwiązanie

2. Kalambury.

(Ułożył Antoni Poloczek z P).

I.

U rolnika szukaj w chacie,
lub w literaturze znajdziesz bracie.

II.

Wspak — na mapie Indyj masz,
wyprost — z dzieciństwa dobrze znasz.

3. Zagadka.

(Ułożył Jan Liwosz z S.).

Tam Polska pokój ze Szwecją zawarła,
Gdy wreszcie wroga za morze odparła,
Jest to płyn także co na wierzch wypływa,
I to i tamto jak się też nazywa?

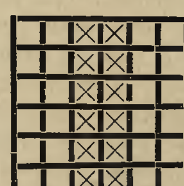
4. Szarada.

(Ułożył Jan Liwosz z S.).

Pierwsza druga bardzo często ludzi nęka,
Kpi z niej wielu, chociaż wielu też się lęka,
Druga wspak czytana to powierzchni miara,
Setkę sobie liczy, zatem dosyć stara,
Trzecia, gdy jest miła, każde ucho pieści,
Gdy nie, to przyprawić może o boleści,
Druga pierwsza obrazom bywa dodawana
Z lepszym lub gorszym gustem dodawana.
Całość — po dziś dzień sławna jest zwycięstwem,
Zdobytem nie liczbą, ale małej garstki męstwem.

5. Logogryf.

(Ułożył Jan Liwosz z S.).



Sprzęt gospodarski.
Kraj w Afryce.
Część parowozu wspak
Filozof grecki.
Imię żeńskie.
Zimna potrawa mięsna

Litery w miejscach kradracików dadzą rozwiązanie.

6. Bilet wizytowy.

Ułożył Józef Górecki z K.).

SEW. CZOPIAPIORIS

Z liter ułożyć zawód tej osoby.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 5 sierpnia b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 29 „Roli“: 1. Logogryf: Feliks Kowalczyk, 2. Szarady: I. Kossak, II. Formalina, III. Albanja, 3. Układanki literackie: Ujejski, Pol, Rossowski, 4. Kwadrat magiczny: Auto—Urok—Toga—Okaz.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Antoni Poloczek z P., Teofil Burman z K., Marja Łozińska z U., Jan Serkowski z T., Marcin Lutwak z O., ks. Ksawery Leśniowski z T., Michał Ozga z U., Stanisław Poradzki z I., Karol Horecki z P., Michalina Osmołowska z U., Ignacy Iżycki z P., Leon Kobza z Ł., Michał Pająk z Ł., Nikodem Dadaj z O., Jan Stypuła z R.

Nagrody otrzymają pp.: Nikodem Ozga z U. i Ignacy Iżycki z P.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 19 lipca b. r.

Pszenica	25·00—25·25	Słoma długa	0·00—0·00
Żyto .	22·00—22·50	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	21·00—22·50	Koniczyna na-	
Jęczmień .	21·50—22·00	sienn. czer.	000·00—000·00
Fasola biała	24·00—26·00	Mąka żytnia	38·00—38·50
Groch zwyk.	26·00—28·00	Mąka pszen.	44·00—46·00
Siano słodk.	7·00—7·50	Otręby pszen.	10·75—11·00
Łubin żółty	18·00—18·50	Otręby żytnie	11·00—12·00
Koniczpastew.	8·50—9·50	Mąka czerw.	14·50—15·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 19 lipca b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł.
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizne	1·00 do 1·20 zł.	Nierogacizna białej wagi	od 1·40 do 1·56

Także przyjemność.

Dziewczyna wiejska prowadzi osiołka do domu i śpiewa sobie wesoło.

— Pewnie cię kto pocałował, żeś taka wesoła? — pyta przechodzący panicz.

— Czy to całowanie dodaje wesołości?

— Naturalnie! — odpowiada panicz.

— No — rzecze dziewczyna — to wielmożny panicz niech będzie tak dobry i pocałuje mojego osła, bo ten okrutnie smutny!

O bocianie

Izia: Wiesz Wandziu, bocian nam przyniósł wczoraj aż dwie siostrzyczki.

Wandzia: Doprawdy? A czy klekotał?

Izia: O nie, ale tatuś to strasznie klekotał zębami, jak się o tem dowiedział.

Głęboki spostrzegacz.

Panicz po raz pierwszy wyjechał z mamą na wieś.

— O, mateczko, jakie ta krowa ma złe spojrzenie. Ona pewno daje odrazu kwaśne mleko.

Jej jeden wystarczy.

Młody małżonek (do przyjaciela, również żonatego): Moja żona włada płynnie aż trzema językami.

Przyjaciel: Phiii!... Moja włada tylko jednym, ale ten za wszystkie jej wystarczy.

Dobry węch.

— Cóż ci się stało, żeś taki obandażowany?

— Koń ugryzł mnie w głowę.

— Musiał mieć dobry węch i poczuł siano.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.